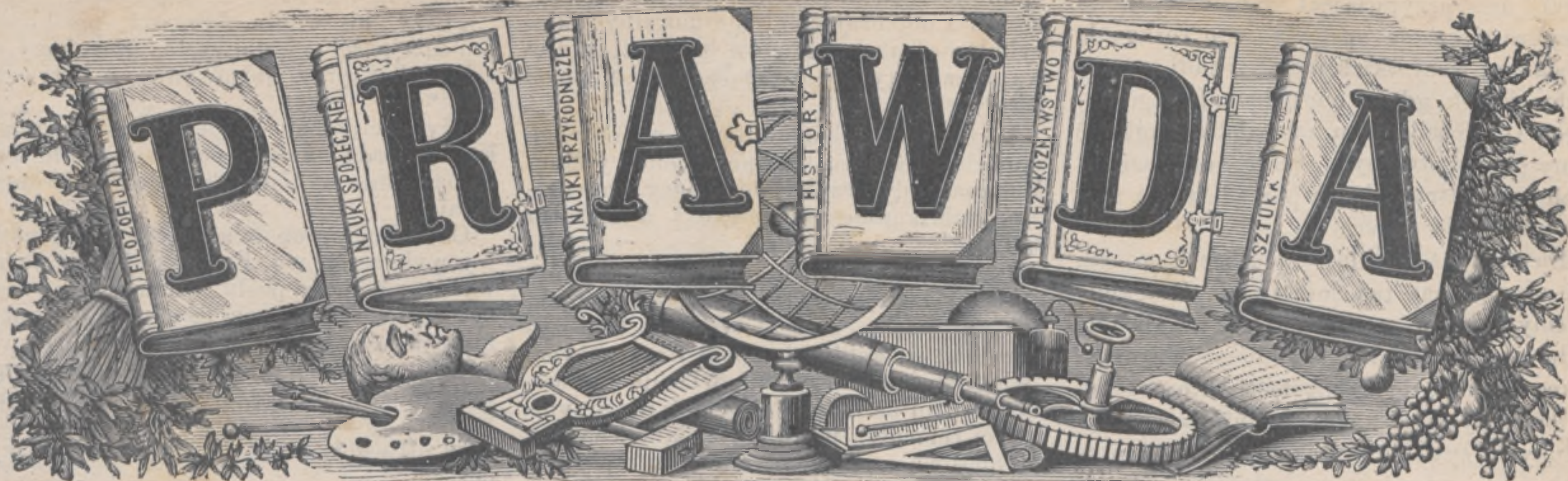
№ 14. Warszawa, dnia 4 Kwietnia (23 Marca) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. **7**.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

STARY NAŁÓG.

Jedną z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych instytucyj są t. z. kółka włościańskie w poznańskiem, potężnie wpływające na dobrobyt, oświatę i podniesienie ducha samodzielności ludu. Dzięki im z włościaninem poznańskim nie wytrzymuje porównania żaden inny polski. Uczestnicy kółek nie są ciemną gromadą, co najwyżej umiejącą czytać *Gazetę świąteczną* i chować srebrne ruble w garnkach; ale świadomi swych praw i zadań, dojrzali są to obywatele kraju, z którymi łącznie pracować dla dobra ogólnego i na których w potrzebie liczyć można. Rzeczywiście w podtrzymywaniu tych kółek (których liczba doszła do 146) położyli szereg niewątpliwych zasług „starsi bracia," posiadacze większej własności ziemskiej. Niektórzy z tych apostołów umieli się zdobywać na czyny prawdziwie wspaniałe. Wspomnimy tu tylko o p. W. Wawrowskim, który przygotował sto kilkadziesiąt egzemplarzy zielnika wszystkich traw pastewnych gospodarczych i cały ten ładunek zawiózł na zebranie, rozdawszy każdemu kółku po jednym zbiorze. Słusznie dr. X. w *Gazecie polskiej* powiada, że to większa sztuka, niż dać kilka marek składki lub prawić mówki.

Najwięcej wszakże kółka zawdzięczają swojemu patronowi i kierownikowi p. Maksymilianowi Jackowskiemu z Pomarzanowic. Człowiek ten wlał w nie całą swą uczciwą duszę, ożywił je siłą rozwoju, wykrzesał z serc twardych najszlachetniejsze iskry. I ten człowiek, który złożył tyle dowodów miłości i znajomości ludu, przekonał ostatecznie, że własnego swego dzieła, że tych ludzi, których obywatelsko wykształcił, nie pojmuje i uszanować ich nie umie.

Podjął on myśl zaprowadzenia „majoratów chłopskich," mających zapobiedz zbytecznemu rozdrabnianiu własności kmiecej i zubożaniu się stanu włościańskiego. Majoraty takie istnieją w Hanowerze i Westfalii. Nie wchodzimy tu w przedmiotowy rozbiór tego zamiaru, który ma swoje słabe ekonomicznie i silne polityczne strony; ale zastanowimy się nad dziwnem, charakteryzującem cały nasz stosunek do ludu przeprowadzeniem sprawy. Podnoszono ją i w Towarzystwie agronomicznem i w kołach włościańskich. Na ostatniem wszakże walnem ich zebraniu jeden z gospodarzy, Palacz, oświadczył, że włościanie majoratów sobie nie życzą. „Przewodniczący zebraniu patron—powiada dr. X.—brwi zmarszczył, ale zdawało się, jakoby to był protest odosobniony." Tymczasem w kilka dni potem inny gospodarz, Płockowiak z Kotowa pod Poznaniem, ogłosił w *Orędowniku* list, w którym wyraził zdziwienie, iż panowie radzą i chcą uszczęśliwić włościan bez pytania ich o zdanie. „My, chłopi, jesteśmy stanowczo obecnie przeciw majoratom, bo one ograniczają swobodę rozporządzania swoją własnością, pozbawiają małego gospodarza kredytu, a i pod moralnym względem mogą być szkodliwe, bo wnoszą niezgodę w familię: dzieci, wyłączone od dziedzictwa, będą miały do rodziców i do dziedzica żal pokrzywdzonych." W końcu autor listu żąda, ażeby centralne Towarzystwo rolnicze wstrzymało się ze swym wnioskiem i do współudziału w naradach powołało kółka rolnicze. Żądanie tak słuszne, że powinno ono było tylko ucieszyć każdego rozumnego obywatela dowodem dojrzałości umysłowej włościan. Tymczasem p. Jackowski, zamiast uznać tę słuszność, wydrukował w organie swego syna, *Wielkopolaninie* następujące nierozważne orędzie: „Po dwunastu latach dobrej harmonii i zaufania do patronatu jest to pierwszy wypadek w tym rodzaju; aby więc odebrać mu możność powtórzenia się, upraszam redakcye wszystkich pism, *aby nie przyjmowały* od członków kółek rolniczych *żadnych korespondencyj, dotyczących wewnętrznych spraw kółek...*"

Wyskok ledwie prawdopodobny. Z najszlachetniejszego człowieka wyjrzał stary pańszczyźniany nałóg, nakazujący chłopu słuchać i milczeć z czapką w ręku. Moralny „patronat" wystąpił jako tupająca nogami na wszelki opór dyktatura, która może zachwiać z takim trudem zdobyte zaufanie do przewodnictwa „starszych braci," niezdolnych dotąd pojąć, że „młodsi" małoletnimi być przestali i bez nich o nich radzić nie należy. Więcej takich postępków, a nieraz powtórzy się wypadek, że, jak kiedyś, włościanie polscy prześlą prośbę do sejmu na rzecz drugiego Laskera

i pominą deputatów własnych. P. Jackowski ani przypuszczał zapewne, jakie przykre wrażenie sprawia jego rozkaz do „redakcyj wszystkich pism“ i jaki wywołałby skutek, gdyby one usłuchały tego polecenia. Jeżeli komu należałoby zamknąć łamy pisma, to chyba tylko autorowi takich nieopatrznych rozporządzeń dla nierozdrażniania włościan.

Dawno już szydło, wyłażące z worka, nie zraniło nas tak dotkliwie. Pragnęlibyśmy bowiem, ażeby istotni przyjaciele ludu pozbyli się tej dla niego wzgardy, lekceważenia, tej wyniosłości, która dotąd najbardziej przeszkadza spójni dwu poważnionych żywiołów, dźwignięciu materyalnemu i umysłowemu włościan. Jeżeli Jackowski tak ich traktuje—to co mówić o innych!

„GŁOSOWANIE Z LISTY.“

Paryż, 27 marca.

W Izbie francuskiej zapadła dnia 25 z. m. uchwała wielkiej wagi dla dalszego rozwoju trzeciej rzeczypospolitej.

Ogromną większością, bo 402 głosami przeciwko 91 zmieniono dotychczasową ordynacyę wyborczą do Izby poselskiej. Zamiast głosowania według okręgów, ustanowiono „głosowanie z listy“ (scrutin de liste)—departamentami.

Nie należy zapominać, że Francya jest w przededniu wyborów, nowa zaś ustawa oddziała potężnie na skład Izby, która za kilka miesięcy wyjdzie z urn wyborczych.

Przedewszystkiem zwiększy się liczba posłów. Dotychczas sala deputowanych w Palais-Bourbon mieściła ich 557—na przyszłość mieścić będzie 596.

Na zmianie jednak liczebnej rzecz się bynajmniej nie ogranicza.

Jakiej doniosłości jest przyjęta świeżo tak przeważną większością uchwała, dość przypomnieć, że głosowanie z listy raz tylko znalazło pełne swe zastosowanie—w roku 1848, jednocześnie z wprowadzeniem samego głosowania powszechnego, po krótkotrwałym zaś istnieniu przeszło jedynie do najbardziej wysuniętych naprzód programów radykalnych republikanów.

Rzeczpospolita 4 września, która powstała pod hasłami wstecznemi, zaprowadziła „głosowanie według okręgów.“ Respublika obchodząca się długo bez republikanów i popierająca „rząd moralny“ klerykałów i monarchistów bała się „głosowania z listy“ i uważała je za wymysł jakobiński.

Dopiero po nieudaniu się pamiętnego zamachu 16 maja (za prezydentury Mac-Mahona), gdy przyszli do władzy prawdziwi republikanie—pomyślano i o „scrutin de liste.“

Dobijali się wówczas o to „skrajni“ z Gambettą na czele. Wiadomo jednak, że Gambetta po sześciu tygodniach prezydowania w gabinecie upadł wraz z swem „wielkiem ministeryum,“ właśnie z powodu „scrutin de liste.“ Nalegał na przyjęcie tej reformy, postawił ją jako kwestyę gabinetową i przeceniwszy swój wpływ—upadł z łoskotem.

Znany fizyolog i wybitny członek Izby poselskiej, a także jeden z najgorliwszych „gambettystów“ Paweł Bert opowiedział nam niedawno na zgromadzeniu w Lyonie, jak po śmierci Gambetty przyjaciele i zwolennicy jego programu podali sobie ręce, zapominając o sporach i waśniach osobistych i jak z tej falangi wyszło ministeryum Ferrego i popierająca je większość.

P. Bert wytaczał wprawdzie proces gabinetowi i ministeryalnej większości, że program ten wywieszono tylko jako reklamę, o artykułach zaś jego i zasadach zbyt często zapominano—niemniej jednak coś z niego wykonywano.

Kongres zeszłego lata w Wersalu był właśnie takiem częściowem spełnieniem zamiarów Gambetty, spychał z porządku dziennego sprawę „rewizyi konstytucyi.“ Obecna uchwała załatwia „kwestyę głosowania.“ Skromny wynik narad wersalskich wywołał całą burzę w szeregach radykalnych i był powodem nader namiętnych wystąpień na kongresie.

Teraz inaczej. Cała lewica radykalna i krańcowa głosowały zgodnie z ministeryalną większością, a samą uchwałę powitano następującemi słowy w organie p. Clemenceau:

„Mamy nareszcie *głosowanie z listy!* pisał p. Kamil Pelletan w *Justice.*

Był już wielki czas. Nie obwiniamy wyłącznie obecnego zaściankowego głosowania (scrutin de clocher) o wszystkie złe strony naszego obecnego politycznego ustroju. Pozwolimy nawet utrzymywać, że miał on swe dobre strony. Demokracya jednak dusiła się w tych ciasnych ramach, w jakie ją zamknięto. Był już czas, żeby nam dano więcej powietrza i światła. Rzeczpospolita wiele na tem zyska!“

„Przy głosowaniu okręgami, pisał dalej ten sam poseł i publicysta, głosujemy na człowieka, przy głosowaniu z listy—na ideę!“

Wypada jednak bliżej objaśnić czytelników *Prawdy*, na czem polega sławetne owe „głosowanie z listy“ i głosowanie okręgami.

Otóż według obowiązującej dotąd ustawy wyborczej we Francyi, każdy okrąg wybiera jednego posła. Przeciwnicy tego systemu zarzucają mu, że wynosi on osoby, których wzrok nie sięga po za granicę swej parafii, wielkości zaściankowe, które przytem muszą pilnować dobrze interesów wpływowych osób w swym okręgu, pod karą utracenia mandatu przy nowych wyborach.

Nowa ordynacya uchwalona w Izbie (przez Senat przyjętą zostanie niewątpliwie)—zaprowadza wybory departamentami. W każdym układać się będzie lista, zawierająca tylu kandydatów, ile razy mieści się cyfra 70,000 w sumie ludności departamentu. Na listę tę głosuje cały departament. Ażeby przejść w niej, trzeba będzie mieć bezwzględną większość głosujących w departamencie i przynajmniej czwartą część uprawnionych do głosowania w całym tym okręgu wyborczym.

Oto jest właśnie „głosowanie z listy.“

Tryumfujący zwolennicy tego systemu powiadają, że wobec niego muszą się ubiegać o mandat poselski osobistości znane przynajmniej w całym departamencie (odpowiadającym mniej więcej u nas gubernii), mniej zależne od wpływów miejscowych i posiadające szersze na rzeczy poglądy.

Stronnicy tej zasady mniemają także, że teraz dopiero można będzie prowadzić agitacyę przedwyborczą w imię jakichś programów zasadniczych i starać się o zapewnienie przewagi listom o pewnej barwie jednolitej i wybitnej.

Przeciwnicy głosowania z listy powiadają, że potępiony właśnie system wyborczy poręczał lepiej swobodę osobistą, jednakowo poglądy i interesy każdego zakątka.

Głosowanie z listy, według nich, prowadzi do jakobinizmu i konwentu—o co właśnie większość obecną i radykałów oskarżają—do przewagi ministeryum i popierającej go większości, do zatopienia jednostki i parafii w falach zbiorowych interesów i potrzeb całego kraju.

Pragnący głosować z listy powiadają, że republikańska Francya ma przedewszy-

---

Ojciec Emanuel

przez

P. K. Roseggera.

Zmrok zapadł. Wśród skał od czasu do czasu odzywał się grzmot spadających lawin, które poobluźniał deszcz. I nagle wędrowcy nasi stanęli przed rozwartą przepaścią, którą wyżłobił kawał oberwanej ziemi. W głębinie po nad gruzami mętna szumiała woda, a droga została odciętą — strumieniowi u dołu, pątnikom — u góry.

Należało wrócić się i innej poszukać ścieżyny. Z wielką trudnością zeszli z wysokości, zmuszeni przytrzymywać się o głazy wystające i korzenie krzewów. Silnie obejmując się wzajem, nierazześlizgiwali się, aż w końcu dostali się w gęstwinę lasu, na dolinie.

Z kościoła na górze zabrzmiał przytłumiony głos dzwonka wieczornego. Była to pora, kiedy ksiądz przed rzęsiście oświetlonym ołtarzem powinien był odprawić nieszpory. Ale Emanuel nie mógłby nigdy opuścić tej dziewczyny, przed wyprowadzeniem jej na bezpieczną drogę.

Gdy dla odpoczynku usiedli na pniu jodły powalonej, dziewczę nagle przerwało milczenie i rzekło:

— Ojcze dobrodzieju, nie mogę ci wyrazić tego, ale tak jak dziś, jeszcze nie czułam się póki życia mojego. Dziś świat się zapada.

Nie odpowiedziawszy ani słowa, Emanuel zerwał się szybko i gwałtownie pociągnął za sobą dziewczynę poprzez ciemny las. Puszczyk jakiś złośliwy głosem ochrypłym zaśmiał się z pary zbłąkanej.

Nagle z pośród drzew czerwone zabłysło światełko. Mieszkanie ludzkie. Emanuel odetchnął pocieszony. Niebawem stanęli przed chatą z kamienia nieociosanego i omszałych pni sosnowych. Przez drzwi otwarte lekki wydostawał się dym, wewnątrz bowiem, na ziemi, w samem mieszkaniu, żywy płonął ogień. Wokoło ognia kręciło się kilka kóz i widocznie miało ochotę spróbować, czy drżące płomyki nie smakują również wyśmienicie, jak zielone liście głogu. Próbę tę beczące zwierzęta opłaciły kilku włoskami miękkich swych bród. Za piecem siedzieli Gaizer-Bimel i Urszulka. Emanuel nie mógł się już cofnąć, bo go spostrzegł Bimel i głośno zawołał do swej bogdanki:

— Oj, Jezu, Jezu! Urszulko, już i ksiądz „z opuszczenia“ znalazł sobie dziewczynę!

Słowo to niby strzała ugodziło w samo serce towarzyszkę Emanuela. Ksiądz usiłował opamiętać się.

— No, no, to dopiero będzie śmiał się pan Bóg! — zakrzyknął znów człowiek leśny, obie ręce zatapiając w rozczochranych swych, jasnych włosach i śmiał się także. A — dodał — prawdziwą będzie miał pociechę!

— Kto? — spytał Emanuel z godnością, na jaką się mógł zdobyć.

— A któż, jeżeli nie pan Bóg! Dlaczego? Dlatego, że pobożny panicz nareszcie wybrał sobie panienkę.

Marya wybiegła z chaty. Emanuel podążył za nią. Padła na kamień mchem porosły, on ją uniósł do piersi swoich.

— Maryo — rzekł — nieszczęśliwa, dobra, piękna dziewczyno. Głośnem się stało to, com na wieki chciał pogrzebać w sercu mojem. Opuściłem ołtarz i poszedłem za tobą, boś ty moim obrazem świętym, w którym pragnę uczcić Boga mojego. Ja położę

stkiem przed sobą wiele zadań ogólnych do spełnienia, nim będzie można uwzględniać każdy odcień indywidualnego zapatrywania i każdą potrzebę drobnego przysiółka.

E. P.

Polacy wobec nauki

(podług A. de Candolla).

Miesięcy parę temu, mówiąc o książce jakiejś, zapowiedziałem sprawozdanie innej jeszcze. Ta atoli książka inna z rąk mi się wysunęła, po rękach cudzych poszła i spotkać jej nie mogłem. Aż — spotkałem się z nią nareszcie, jestem przeto w możności dotrzymania obietnicy, której—nikt odemnie nie wymagał.

Książka ta o sześciuset z górą stronicach druku wielkiej ósemki—ma historyę swoją dosyć ciekawą. Drukowana w r. 1873, przeszła niepostrzeżenie. Autor reklamy nie czynił; jego przyjaciele nie upominali się; krytyka, w chwili ukazania się jej, uwagi na nią nie zwróciła; słowem — wpadła w tę otchłań, w którą wpada książek tysiące. Rozprzedała się jednak bardzo prędko. W handlu nie istniała od lat kilku — stała się rzadkością bibliograficzną i zachodziło pytanie: po jakich się ona rozeszła rękach? Pytanie to przybrało pozór sprawy, której bliższe śledzenie wykazało, że książkę rzeczoną rozebrali publicyści, literaci, uczeni i posługiwali się nią, jako podręcznikiem, czy poradnikiem. Autor, głównie sprawą tą interesowany, często po pismach i książkach spotykał się z wyjątkami pracy swojej, podawanymi bez wskazywania źródła, bez cudzysłowów nawet. W ten sposób doszedł, co się z pracą jego stało. Wreszcie i księgarze do niego o egzemplarze zapasowe zgłaszać się poczęli. Ponieważ ich nie miał, potrzeba więc było zrobić wydanie nowe. Tak w r. 1885, to jest, w lat dwanaście po edycyi pierwszej, wyszła druga, przejrzana, rozszerzona i powiększona: „Historya nauk i uczonych od dwóch wieków“ (*Histoire des sciences et des savants depuis deux siècles* — Genewa u H. Georg).

Autorem pracy tej jest Alfons de Candolle — dynasta. Dynastą go zwą, gdyż jest on członkiem jednej z tych rodzin szwajcarskich, w których uczoność tak przechodzi z pokolenia na pokolenie, że niektórych, jak w rodach monarszych, oznaczać potrzeba cyframi, Bernouillich naprzykład: Bernouilli I, Bernouilli II, Bernouilli III, IV, V, VI, VII, VIII. Autor zaznacza tę osobliwość, posługując się nią dla wykazania prawa dziedziczności, o którem rozprawę włącza do historyi uczonych i łączy ją z rozprawami: „O obserwowaniu faktów materyalnych w szkołach,“ „O obserwowaniu faktów społecznych,“ „O statystyce.“ Potrzebnem mu to jest dla usprawiedliwienia metody, jakiej się trzyma przy historyi nauk, metody, którą opiera na postrzeżeniach statystycznych, nie przyznając atoli cyfrom takiego, jak Buckle, w swojej *Historyi cywilizacyi w Anglii*, znaczenia. Bukle bezwarunkowo, Quetelet względnie przyjmuje wyniki postrzeżeń statystycznych za miarę zjawisk społecznych, za dowód przeciwko wolnej woli. A. de Candolle z pierwszym nie zgadza się zgoła, z drugim połowicznie; krytykuje przytaczane przez nich przykłady, tyczące się samobójstw, wypadków rozjechania przez pojazdy po miastach wielkich, listów bez adresu na na pocztę oddawanych i dochodzi do wniosku następującego:

„Wola ludzka jest *przyczyną* działalności. Przeciwnie, cyfry i przeciętne są to *następstwa*. Wywraca się porządek logiczny, przypuszczając, że następstwa wpływać mogą na przyczyny.“

Przyznawanie cyfrom znaczenia bezwzględnego pochodzi, według niego, z niejasnego pojmowania wyrazu: „prawo“ (*loi*). Nie odróżniają prawa naukowego od prawa zwyczajnego (*ordinaire*). „Prawo naukowe jest rezultatem faktów; prawo zwyczajne sprowadza je. Pierwsze nic nie narusza a czyni jeno zjawiska pewne lub objaśnienia pewne prawdopodobnemi; drugie rozkazuje.“

Pracę swoją podzielił autor na części. Trzeciej dał tytuł: „Wybór“ (*Seléction*) i uczynił ją niezmiernie ciekawą ze względu na to, że mówi o rozlicznych kategoryach wyboru i uogólnia to prawo, zastosowując je do społeczeństw ludzkich, do oddziaływania narodu na naród, do wypływających stąd wyników cywilizacyjnych, tak w narodach, jak w grupach pewnych. Świetnie dla żydów wypada świadectwo, jakie im autor we względzie pracowitości, pojętności, miłosierności i trzeźwości wystawia. Gdyby Europa przez żydów wyłącznie zaludnioną była, „nie byłoby w niej wojen, a zatem zmysł moralny nie byłby tak często gwałcony, milionów ludzi nie odrywanoby od prac pożytecznych a zmniejszyłyby się długi publiczne i podatki. Według znanych w izraelitach skłonności, postęp wielki uczyniłaby uprawa nauk, literatury, sztuk, zwłaszcza zaś muzyki. Zakwitłyby przemysł i handel. Zamachy przeciwko osobom byłyby rzadkie; zamachom na własność rzadko by towarzyszyły gwałty,“ etc. Ludność by się mnożyła; stan zaś ogólny „byłby trochę stanem Chin z dodatkiem więcej moralności, więcej pojętności, więcej smaku, a bez buntów i morderstw obrzydliwych, hańbiących to najmniej niebieskie z państw“ (str. 172 i nast.).

W narodach ucywilizowanych pojawiają się — zdaniem autora — zwroty ku barbarzyństwu, w skutek dziedziczności i atawizmu, pod postacią wojen i rewolucyj — a stąd wyradza się pytanie: „Czy jest rzeczą przypuszczalną, ażeby cywilizacya zaginęła całkowicie?“ Autor nie rozstrzyga kwestyi tej stanowczo; rozumnie, odwołuje się do świadectw i opinii uczonych — Scherera, Galtona, Crolla, Ch. Lyella, Spencera, Büchnera, Darwina, lecz nie wyrzeka słowa ostatniego, pomimo, że wierzyć się zdaje w następstwa dodatnie prawa wyboru. „Złudzeniem by było — powiada — gdybyśmy, na podstawie idei nowoczesnych naturalistów, odbudowywali teoryę pierwszych filozofów francuskich zeszłowiecznych, doskonalenia się nieskończonego.“

Historyi nauk A. de Candolle nie kreśli we właściwem znaczeniu wyrazu „historya,“ lecz daje do niej skazówki i dostarcza materyału — materyału, zdaniem mojem, jednostronnego i niedostatecznego, zaczerpniętego bowiem całkowicie z tego, co nazywa „opinią ciał uczonych.“ Opinia owa na tem polega, że akademie nauk, przywołując do grona swego uczonych obcych, zaznaczają przez to stopień naukowości u narodów innych, aniżeli te, do których same należą. Autor uważa to za podstawę historyczną nową i o ile pewną o tyle bezstronną. Nową ona jest; pewność jej atoli i bezstronność pozostaje wątpliwą a to głównie z powodu, że akademie uwzględniają jeno tych uczonych obcych, których prace rozumieją. Akademia paryska np. przybrać może do grona swego uczonego, piszącego po niemiecku, po angielsku, po włosku, ale nie po węgiersku, ani po czesku, ani po rosyjsku, ani po polsku. Ci ostatni musieliby przedewszystkiem dzieło swoje tłomaczyć, a następnie — popierać. Bez dopełnienia dwóch tych warunków progi akademii paryskiej są dla nich zamknięto, tak samo, jak londyńskiej i berlińskiej, to jest, trzech, wedle których A. de Candolle o naukowości w narodach różnych wnioskuje i tablice porównawcze układa.

---

kres twojej niedoli, Maryo, kochanie moje, ja pozostaję przy tobie!

Przez chwilę chciała wyrwać się z palących jego objęć; prędko jednak zaprzestała tych wysiłków napróżnych. Kobieta młoda, jak ona, niedługo jest wstanie walczyć z mężczyzną nieustraszonym i sercem własnem. Obu ramionami silnie oplotła mu szyję, a głowę przechyliła tak, że kędziory jej włosów swobodnie spływały po czarnej jego szacie.

Widząc to, Urszula chciała wybiedz z chaty, ale Gaizer odezwał się do niej:

— Daj pokój, nie pamiętaj mu krzaków!

I cofnęli się oboje w głąb mieszkania a Bimel z uśmiechem zapalił dużą fajkę.

— Kiedy tak — mruczał przytem — znów pójdę do kościołka na górę.

— Nazwał cię obłudnikiem i bluźniercą! — zauważyła żona.

— Wiesz co, Urszulko — rzekł Gaizer— dlatego tylko tak powstawał na mnie, że sam nie miał nikogo. Ja na jego miejscu zrobiłbym to samo; on uczony, a ja nie; on piękny i delikatny, a ja niedźwiedź leśny — ale jest *jedna* krwi kropelka, wobec której wszyscyśmy równi...

Na ustach Emanuela nie zagasł jeszcze pierwszy pocałunek miłości, gdy na wpół upojony przywlókł się do chaty.

Oddał zawiniątko do rąk Gaizera i rzekł z udanym spokojem:

— Kochany przyjacielu, jako człowiek wyrządziłem ci raz krzywdę; jako kapłan jednak tak postąpić musiałem. Teraz już kapłanem nie jestem. W tem zawiniątku oto są moje suknie duchowne. Jeśli możesz, odnieś je jutro do kościoła na górę. Proszę cię o to.

Góral wesoły podniósł dłoń swoją wysoko i uderzył nią w dłoń Emanuela, że aż klasnęło.

— Dobrze! Łachmany pójdą na górę! Ale potrzebna panu bluza płócienna, jeśli masz pozostać w lesie!

— W lesie nie zostanę, Bimelu. Bluzę przecież mi daj, masz za nią ten krzyż — srebrny; niech ci będzie zarazem pamiątką odemnie. Już może nic więcej nie usłyszysz o mnie.

Emanuel i Marya wciąż błądzili po lesie. W sercach ich głęboko wzbierało morze. Marya zatrzymywała się często i coraz jedno zadawała pytanie:

— Jestże to tylko wola boża?—Emanuelu, ja jestem zgubą twoją!

— Drogę u boku twojego wskazał mi Bóg.

— Gdybym wszakże ja miała być zgubą twoją, lub gdyby w tobie miał zmarnieć ksiądz prawy a dzielny — rzekło dziewczę z cicha — wtedy wolałabym, aby mnie dziś największa zagrzebała lawina.

— Będziem szczęśliwi, kochanie moje. Nic nas nie wiąże z tym krajem. Podążymy za granicę i pobierzem się.

Tak mówił Emanuel. Namiętność długo tłumiona sprawiła, że młodzieniec ów zapominał o wszystkiem i działał, jak dziecko. W sercu miał burzę, w głowie zawrót. Dwadzieścia cztery godzin upłynęło zaledwie, odkąd dziewczę w konfesyonale samo siebie o niegodziwość oskarżało. Jakże wązką jest droga prawdy! Wkrótce może nadejdzie chwila, w której Marya sama uzna się winną — miłości.

Tej samej nocy ostatnia kompania wracających pielgrzymów przeciągała przez bezdrożną okolicę. Wszedł księżyc i najwięcej świadomi drogi przewodnicy odważyli się w nocną puścić wędrówkę, ażeby wynagrodzić sobie czas przydługi, spędzo-

Na porównaniu w sposób ten wyprowadzonem fatalnie wychodzimy — my. Akademia paryska założoną została w r. 1666, londyńska — w 1750, berlińska — w 1750: do pierwszej po r. 1883 należało polaków 3, do drugiej jeden, do trzeciej ani jeden. Akademia paryska w r. 1761 przybrała sobie Jabłonowskiego księcia, astronoma, w r. 1789 księdza Poczobuta z Wilna i księdza Jackniewitza (sic) z Krakowa, astronomów. W tymże roku akademia londyńska przybiera księdza Poczobuta. Na tem koniec. Wedle tego autor Polsce, w rozdziale p.t. „Analiza faktów,“ następujące wystawia świadectwo:

„Polska zawczasu złożyła dowody cywilizacyi wysokiej, ponieważ Kopernik poprzedził Kepplera i Galileusza. Nie wiem, dla jakich to powodów, kraj ten, w epoce kiedy niepodległy, był zupełnie panem losu swego, coraz to bardziej zaniedbywał poszukiwania naukowe. Pomiędzy Kopernikiem a pierwszym podziałem Polski upłynęło trzy wieki prawie. Akademia nauk w Paryżu założoną została w r. 1666 i liczba uczonych znakomitych była wówczas tak małoznaczną, że zostawali członkami cudzoziemcy z taką prawie łatwością, z jaką się dziś zdobywa tytuł korespondenta, przynajmniej co do nauk niektórych. Mimo to na liście członków zagranicznych znajduje się jeden tylko polak, ks. Jabłonowski, mianowany w 1761 r. Korespondentów polaków nie było w akademii paryskiej w r. 1750. W 1789 było dwóch, obaj księża; w 1829 i w 1869 ani jednego. Tablice londyńskie i berlińskie wykazują polaka jednego tylko (autor się myli — berlińskie ani jednego). Widocznie starożytna kraju cywilizacya naukom nie sprzyjała. Duchowieństwo katolickie wydało uczonych kilku w wieku ostatnim; obecnie zdaje się do nauki się tyłem obróciło. Wobec takiego poprzednictwa dziwić się nie można, że emigracya polska okazała się inną, aniżeli protestancka z wieku XVI“ (str. 454).

O emigracyi polskiej mówi autor przedtem (str. 350), zaznaczając, jako nie widzi imienia żadnego emigranta polaka na listach akademickich paryskiej, londyńskiej i berlińskiej od r. 1829 do r. 1869. „Usposobienie umysłu, nawyknienia i tradycye— słowa jego — nie zdaje się, ażeby kierowały emigrantów w stronę nauk. Nie można atoli spieszyć się z sądem wedle doświadczenia półwiekowego. Jeżeli potomkowie polaków zastanowią się nad nieszczęściami przodków swoich, niektórzy z nich zbrzydzą sobie politykę i rewolucye, co zwrócić może wyobrażenia ich ku uprawie pokojowej nauk.“

Owóż tedy, gdyby nie książe Jabłonowski, o którego dziwactwach więcej, aniżeli o nauce wiemy, gdyby nie ksiądz Poczobut, uczony rzetelny i ksiądz Jackniewitz — może Jachniewicz — o którym nic nie wiemy, honor nasz, wedle metody A. de Candolla, ucierpiałby srodze. Autor, wbrew własnemu o wymowie cyfr zdaniu, wniosek o wartości naszej cywilizacyjnej na cyfrach opiera i, nie zastanawiając się nad zaznaczonemi przez siebie samego „prawami zwyczajnemi,“ domyśla się jeno, że starożytna z epoki Kopernikowskiej Polski cywilizacya naukom nie sprzyjała, pomimo, że kraj do r. 1772 losami swymi sam rozporządzał. Dla cudzoziemca z boku patrzącego jest to rzecz — doprawdy — zadziwiająca i niepojęta. Obwinia więc starożytną polską cywilizacyę, która wrzeczy samej zawiniła — srodze zawiniła: w ręce jezuitów się oddała i z piorunową szybkością, od razu, zeszła na nice. „Prawo zwyczajne“ weszło i następstwa naturalne wydało. Cudzoziemiec widzi skutek; nie zna przyczyny, która naukowości polskiej kark skręciła. Z tem wszystkiem jednak za miarę jej służyć nie może obecność polaków w akademiach paryskiej, londyńskiej i berlińskiej — w tej ostatniej dla powodów nie autorowi, ale nam wiadomych, w tamtych głównie dla języka, w części dlatego, że, ażeby się do akademii dostać, potrzeba się i o to, bądź samemu, bądź przez kogoś starać. Darwin nie znajduje się na liście w akademii paryskiej. Nic więc dziwnego, że się na niej nie znajduje, obok księdza Jackniewitza, ani Jan Śniadecki, ani Andrzej Śniadecki, ani bisk. Gawroński, ani ks. pijar Ustrzycki, ani Jundziłł, ani Groddek, Linde, ani Lelewel, Libelt, Helcel, Cieszkowski, Maciejowski, Supiński, etc. etc. Gdyby ci wszyscy i innych liczba nie mała posiadali byli takie przynajmniej sposoby dostania się do akademii paryskiej, co niejaki don Pedro d'Alcantara, mieszkający w Rio de Janeiro, z profesyi cesarz brazylijski, analiza faktów wypadłaby dla Polski o wiele korzystniej.

O pracy A. de Candolla byłoby jeszcze do pisania nie mało, ale — woźny do porządku woła: kończyć potrzeba. Na zakończenie przeto dodam, że, mimo wszystko, co by się dziełu temu zarzucić dało, jest to praca ze wszech miar ciekawa, a przytem i pożyteczna przez swe poglądy, skazówki i informacye, jakich w niej pełno. Styl łatwy i przystępny. Umieszczona przy końcu książki tablica analityczna ułatwia poszukiwanie.

T. T. Jeż.

SOJUSZ PIĘKNA Z DOBREM I WIEDZĄ.

Gdybym nie wiedział dobrze, że filozofia
Z wszystkich naszych bawideł najgłupszą
[jest fraszką
.....mniemałbym, żem znalazł
Tę złotą tajemnicę, to szukane „Kalos“
Byron *Manfred.*

I.

Czy samotny wygnaniec, skarżąc się w gorzkich rymach na mękę próżnej pogoni za istotą piękna, pomyślał, że kiedyś znajdą się bluźniercy, co tajemniczego talizmanu szukać będą nie w czystej myśli, szybującej pod obłokami, ale tuż przy ziemi, w niskich kaprysach ciała? Chyba nie. Nie szperał też w nich inny męczennik zagadki piękna, seraficzny Schiller, pomimo że na przekorę tradycyi ojczystej przeniósł pole dociekań z krainy jakichś bytów bezwzględnych do samego jądra duszy ludzkiej—lecz mniemał, że rozwiązanie znalazł w swobodnej grze fantazyi, w wesołym, w wolnym od pracy, trosk i obowiązków istnieniu bogów greckich, w naśladowaniu cnót, występków, walk i zwycięstw cudzych. Bardziej jeszcze posłuszny chłodnemu rozsądkowi Kant również w zaczarowanym pałacu wyobraźni zamknął źródło piękna i oddzielił je przepaścią od wszelkiego dobra i pożytku. Podobnież rozumują Schopenhauer i jego szkoła, zazwyczaj tak trzeźwy Spencer i przedmiotowy Darwin.

Śmiałkiem, który napada na te wiekiem uświęcone pojęcia jest młody uczony M. Guyau *), znany ze swych cennych badań nad etyką. Chce on zachwiać wiarę w szlachetny rodowód piękna, wołając, że to po prostu podrażnienie zmysłu w pewien pożądany dla nerwu sposób, że to zwyczajne wyładowanie żywotności nagromadzonej w kwitnącym organie, że zatem na dnie wrażenia estetycznego odnajdziemy korzyść, której w niem cały świat myślicieli, poetów i artystów widzieć nie chce. Gdy więc nowa ewangelia piękna wyrugować zamyśla dotychczasową i obiecuje

*) *Les problèmes de l'estetique contemporaine.* Paryż 1884. Zagadnienia estetyki współczesnej.

---

ny w cudownem miejscu odpustowem. Manowcami kompania zaszła do gęstwiny leśnej, wśród której rozkosznie błądziła para nasza.

Żeby prędko i bezpiecznie wydostać się z pustyni, w ciemności niepoznana przyłączyła się ona do rzeszy pątników, bez zwrócenia na siebie szczególnej uwagi. Jak przypuszczał Emanuel, na długo jeszcze przed świtem powinni byli do przyjaźniejszych przybyć okolic, a wtedy miał zamiar razem z wybraną swoją znów samotnej poszukać ścieżyny.

Powoli, co krok potykając się, szli pielgrzymi. Niektórzy modlili się z cicha, inni bezmyślnie i w milczeniu spoglądali w szarą dal, a jeszcze inni rozprawiali o miejscu odpustowem i o wrażeniu, jakie ono uczyniło na nich. Była mowa i o księdzu, który choć tak młody i przyjacielski, tak jednak jest nabożny.

— Teraz wiem, co to znaczy dobra spowiedź — odezwał się jeden. Byłem zrozpaczony na wskroś, bo mi się na świecie nic nie wiedzie. Wierzcie mi, albo nie, z różańcem w jednej kieszeni, ze stryczkiem w drugiej — wybrałem się na górę „w opuszczeniu:“ jeżeli nie znajdę tam pociechy, rzucę różaniec — Boże przebacz — do dyabła i założę sobie stryczek. Po spowiedzi tak mi się świeżo zrobiło na sercu, żem zawiesił stryczek na gwoździu u ołtarza, na wieczną pamiątkę pełnej łask Maryi.

— A ja — powiedział ktoś drugi — od lat trzydziestu po raz pierwszy znów płakałem, jak dziecię, gdy ksiądz na górze mówił o miłosierdziu bożem. I przedsięwziąłem sobie mocno nigdy odtąd nie upadać na duchu, cokolwiekbądźby mi się przytrafić miało. Staram się spełniać obowiązki swoje, resztę zaś pozostawiam Bogu miłosiernemu.

— Mnie zeszłej wiosny ospa zabrała męża i troje dzieci — opowiadała kobieta jakaś. Z najmłodszem dzieciątkiem tylko pozostałam na świecie. Nie znalazłam pociechy — i przyszłam do „Maryi w opuszczeniu.“ Ale modlitwy moje do Matki boskiej także nie były szczere, bom myślała wciąż: jednak to niesprawiedliwość Pana Boga, że mnie tak wielkiem dotknął nieszczęściem. Dopiero spowiednik przekonał mnie, że choć ciężka dola boli srodze — a tak boli, że tysiącem języków wypowiedzieć tego niepodobna—to w gruncie przecież niema ona tak wielkiego znaczenia. Mówił, że kochani moi o godzinkę tylko mnie wyprzedzili i z wiarą tam na mnie czekają u wrót niebieskich i w chwili śmierci mojej wyciągną ku mnie ręce: Pójdź, kochana żono, pójdź, matko kochana, myśmy już przygotowali ci miejsce! Lecz i na tej ziemi — mówił — masz jeszcze zadanie najpiękniejsze, najświętsze z tych, jakie człowiek kiedykolwiek mieć może. Dziecku jedynemu winnam być ojcem i matką zarazem i miłością i rozumem, uczciwego zeń uczynić człowieka. Bóg jest sprawiedliwym i nie zapomni o mnie. Pewnie tak będzie i nigdy już skarga nie wyjdzie z ust moich.

A znów starzec jakiś mówił o prześlicznem kazaniu, jakie na temat namiętności ludzkich i ich poskramiania wypowiedział ksiądz w kościołku odpustowym. Najwyższym majestatem, miał powiedzieć, i potęgą na ziemi jest panować nad samym sobą. Potęga ta jest dowodem, że jesteśmy dziećmi bożemi i stanowi dziedzictwo niebiańskie, przy pomocy którego danem jest przezwyciężyć siły ziemskie i z tryumfem wrócić do Boga.

(D. n.).

lepsze drogowskazy tym, co uprawiają żyzną jego glebę, warto się jej podstawie przyjrzeć.

Badanie złożonych zjawisk życia przy pomocy prostszych, porównywanie udoskonalonych tworów z gorzej uposażonymi, tak skuteczne w dzisiejszej nauce, odsłoniło ciekawy fakt, że im lepiej dany gatunek zwierząt przysposobionym jest do walki o byt—tem większą okazuje skłonność do zabawy. Jak tylko narząd, pomyślnie się rozwijający, zapada w spokój dobrobytu—męczy się szybko nieczynnością; oko, gdy obcuje z głębokim mrokiem, lub ucho, nawykłe do gwaru, gdy nic może w ciszy pochwycić najlżejszego szmeru—cierpi. Dziecięciu troskliwej matki, czy będzie nią kobieta, czy lwica—głód nie dokucza; więc ono się ciągle bawi. Żyrafa w ogrodach zoologicznych ma jadła do syta, lecz, ponieważ na wolności zmuszoną jest obrywać gałązki z drzew—więc długim językiem liże sklepienie swej klatki. Środki, służące osobnikowi do współzawodniczenia z innymi o zdobycz: bieg, skoki, kurczenie i wydłużanie się, wraz z ich tłem duchowem, spotęgowaną wolą i zmyślnością, najczęściej stanowią ujście dla skupionych soków żywotnych. Kot i pies najszczęśliwszymi są, gdy udają, że się gryzą, przewracają, drapią i mogą okazać całą swą zwinność—a i my za nimi; bo czemże są średniowieczne turnieje, nasza gra w piłkę, w karty, w bilard lub szachy, jeśli nie zadośćuczynieniem potrzebie walki, mniej, czy więcej uduchownionej? Tym sposobem ćwiczenie władz zarówno mięśni, jak mózgu, nie może stwarzać wrażeń estetycznych, nie będąc zarazem zadowoleniem odnośnej żądzy *).

Dotąd nowy apostoł idzie śladem uczonych z za morza. Tu drogi rozchodzą się. Tamci, chociaż ze znanym estetykiem francuskim, Grand Allenem, w każdem dziele sztuki widzą bawidło, nie każdej zabawie przyznają nawzajem cechę sztuki, która podług nich zasadzać się winna na biernej kontemplacyi, w żaden sposób—na czynności. Brzmi to dziwnie—czyż bowiem ci, co nam swym artyzmem sprawiają przyjemność: malarz, rzeźbiarz lub muzyk, tworząc obraz, posąg lub melodyę, nie doświadczają więcej rozkoszy? Czyż zresztą my sami, zachwycając się arcydziełem, nie pracujemy usilnie okiem lub słuchem—niech na to odpowie ten, co z monachijskiej galeryi lub przedstawienia „Parsifala“ wyszedł z bólem głowy. Przyjemność wzrasta w miarę, jak warunkujące ją funkcye nerwów wywołują współudział organów. Z większem zajęciem czytamy poemat głośno, niż po cichu, z większem jeszcze—gdy gestykulujemy. Mickiewicz, wypowiadający słynną swą „Improwizacyę,“ zjednoczył w sobie wieszcza z aktorem: było to owo prawdziwe natchnienie, ów najwyższy wzlot piękna, który odebrał niemal jemu samemu i słuchaczom przytomność.

Przeciwnicy utrzymują nadto, że pojęcie piękna wyklucza wszelki wzgląd użyteczności. I to twierdzenie opiera się na kruchej podwalinie. Nie chwalimy kościoła lub gmachu za same ozdoby, lecz i za wygodne urządzenie wnętrza, musi on przedewszystkiem odpowiadać celowi, w jakim go wzniesiono. Nie nazwiemy „śliczną“ drogi, choćby karmiła oko najprzepyszniejszymi krajobrazami, jeżeli wyboje i kamienie narażają nas co chwila na bolesne wstrząśnienia? Czyż słońce wiosenne nie jest piękniejszem od zimowego, które nas nie grzeje?

*) Stąd wypływa szczytne dla poważnej, zwłaszcza umysłowej zabawy posłannictwo—chronienia od zaniku zdolności, które w nadmiernym podziale pracy—tej klęsce naszego wieku, próżnują—tož gimnastyka i szermierka zachowują dzielność mięśni.

Potrzeby ludzkie i ich zaspokojenie, to, co czyni przedmiot użytecznym, niemniej mogą rodzić uczucie piękna. Miłość, to wszechpotężne bóstwo, na którego ołtarzu składamy najlepszą cząstkę żywota, ta mieszanina zachwytu i podziwu, która Fausta z najgodniejszego współczucia uczyniła najgodniejszym zazdrości, jest tylko popędem płciowym, osłonionym gazą uczuć podnioślejszych i będzie nim po wszystkie czasy, mimo świętobliwe oburzenie i śmieszną pruderyę świętoszków. Poezya bywa na tyle bezwstydną, że opiewa tak poziome ustroju naszego potrzeby, jak oddychanie, ruch i odżywianie—a przecież unosimy się nad pięknością Farysa, „któremu całe powietrze w Arabistanie, ledwie że na oddech stanie,“ i Kirgiza, co na bezludny step wybiega, bo mu „duszno jak w grobie, żyć zamkniętym w ścian czterech niewoli.“ Chcielibyśmy jak beduin odczuwać przyspieszony oddech rumaka, co „pędzi jak burzliwa chmura“ i „na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra.“ Pogodna myśl ludów klasycznych nie gardziła ciałem, jako wytworem dyabła, i wielbiła nektar i ambrozyę, jak my zbawienie. Nazwijmy przy wieśniaku, którego pojęć nie spaczono, wzorzysty muchar ładnym, wyśmieje nas. Na wyżynach Alp koza, której mlekiem częstują nas, zziajanych i łaknących napoju, wydaje nam się pełnem wdzięku zwierzęciem. Gdyby w pragnieniu nie było poezyi, nie trawili by się niem poeci, jak Byron, Musset, Heine i setki innych. I nam tęsknota za niedoścignionem dobrem wydarła wielu ulubieńców muzy.

Łudzą się też miłośnicy abstrakcyi, gdy naśladownictwo i odtwarzanie mają za warunki od sztuki nieodłączne. Wypadłoby stąd, że my, czytając Skargę lub Demostenesa, lepiej pojmujemy urok krasomówstwa, niż ci, co sami słuchali gromowych ich przepowiedni; że Galatea ponętniejszą była wtedy, gdy z pod marmurowych powiek wyzierały oczy bez źrenic, że niemiec, choćby to był sam Goethe, mógłby równie potężnie jak Słowacki, na polach walk z persami wyśpiewać dziejową elegię Hellady, lub jak on głęboko zrozumieć wielki dramat Cheronei. Pędzel i dłuto zmyślają to jedynie, by w nas wpoić przekonanie, że nie zmyślają, jak ongi Leuksis i Parasiusz—a wzruszenie estetyczne bywa tem gwałtowniejsze, im więcej posiada pierwiastku realnego. Żale Gustawa na zdradę kochanki w nikim tak głośnem echem się nie odbiją, jak w młodzieńcu chorym na serce. Lecz, jeżeli sztuka ma się opierać na rzeczywistości, jak objaśnić czerpanie tematów w brzydocie, strachu i cierpieniu? Wielki romantyk Wiktor Hugo dowiódł, że szpetne ciało może, jak w nieszczęśliwym przyjacielu Esmeraldy, uświetnić tylko szlachetne przymioty duszy; ból fizyczny, czy moralny, w zestawieniu z męstwem, daje sztuce męczenników i bohaterów, w parze zaś z małodusznością daje karłów, których przeznaczeniem jest znowu podniesienie piękna charakterów dodatnich.

Tak więc wszystko, co drga życiem, co nam przynosi pożytek, może w pewnych warunkach stać się pięknem. Ale w jakich?

Zacznijmy od ruchów. Cechy, od których zależy ich mniejszy lub większy powab, są zaletami czysto praktycznemi. Siła pomaga nam pokonywać fizyczne przeszkody, porządek, harmonia, wyrażają rozumne zastosowanie pracy mięśniowej do celu. Sienkiewiczowski Rzepa tak zręcznie uderzał siekierą w drzewo, że aż wzbudził entuzyazm w przypatrującym mu się „kupcu.“ Wreszcie gracya, słowo magiczne oznacza tak umiejętne ustosunkowanie wydatku energii do rezultatu, że znika wszelki pozór wysiłku; wzrok nasz podziwia w bajaderze lekkość tańca, łatwość przerzucania się z pozy w pozę, z miejsca na miejsce. Ta sama giętkość nóg, która uczyniła gazellę przysłowiowo wdzięcznem stworzeniem—zwiększa odległość, dzielącą ją od chciwego strzelca. Im donioślejsze są pobudki ruchów, tem głębiej wyciskają na nich pieczęć piękna. Cóż, że poseł Maratonu padł zapylony i spocony, skoro wydając ostatnie tchnienie, powiewał gałązką lauru na znak zwycięstwa?

Piękno ruchów jest zatem pożyczanem—od czuć i woli, których jest tłomaczem. Spojrzmy na nie ze stanowiska psychologii a znajdziemy w sile świadectwo dzielności męskiej, a częstokroć odwagi i wiary w siebie, w rytmie dowód wytrwałości, w gracyi wewnętrzną rozwagę, zadowolenie i pełnię życia. Ruchy tchórza są kątowate, niezgrabne—każdy obrót jednostki spokojnej odznacza się pewną okrągłością, nie rażąc nagłemi przejściami. Wierzbę nad strumieniem lud nazwał płaczącą dlatego, że się pochyliła i spuściła, jak gdyby w uczuciu bezporadności, gałęzie swe ku ziemi. Zgarbiona postawa przechodnia budzi w nas mimowolną litość—bo przypuszczamy w nim niedolę lub bezsilność.

Piękny stan ducha jest zarazem pożądanym—i na odwrót. Nigdzie tak wyraźnie jak tutaj wartość estetyczna nie schodzi się z wartością rzeczywistą, widzialną i namacalną. Niektórym uczuciom, dostarczającym treści sztuce, chcianoby bądź co bądź zaprzeczyć znaczenia moralnego, jak zemście, gniewowi, oburzeniu, ale dosyć jest wspomnieć, jak usprawiedliwionem etycznie było pastwienie się Achillesa nad trupem Hektora, ten najgroźniejszy moment całej Iliady.

Nie będziemy za autorem rozbierali wrażeń zmysłowych, które, jak się okazuje, pięknemi są o tyle, o ile odpowiadają budowie narządów, służących do ich odbierania—dosyć napomknąć, że powab w doborze barw i świateł pochodzi z uwzględnienia wymagań siatkówki, tak jak kombinacya dźwięków będzie miłą wtedy tylko, gdy nie nadweręża i męczy słuchu. Czar muzyki wyrasta z czaru mowy, której jest najdoskonalszem uwydatnieniem, a którą cenimy, jako jeden z najdroższych darów przyrody. Piękne kształty, jedwabista cera, pulchne ciało mniej by nas wzruszały, gdybyśmy z urodzenia pozbawieni byli zmysłu dotyku, który przekłada formy okrągłe nad kwadratowo, to, co jest miękkiem i gładkiem, nad to, co jest szorstkie lub ostre. Wzrok nuży się śledząc linię łamaną lub zygzakowatą—a najmniej zużywa pracy dla ogarnięcia koła. Tak samo dzieje się z zapachem i słodyczą, których zazwyczaj w rymach więcej napotkać można, niż poezyi.

(D. n.).

N. Hirszband.

PIERWSZY SOCYOLOG POLSKI.

III.

Spodziewam się, że dalszy rozbiór „Fizyologii Wszechświata“ uwydatni może myśl mojej uwagi. Przekonamy się bowiem, że w miarę jak autor z dziedziny zjawisk fizycznych zstępuje do organicznych lub społecznych, stosowanie „praw powszechnych“ staje się coraz mniej jasnem, mniej zrozumiałem i nabiera coraz więcej cechy mistycyzmu. Oto przykład: „Wynikłość dwóch sił niebieskich, nie napotykających nigdzie zapory, spaja ostatni punkt łuku z pierwszym, zakreśla koło, linię bez końca i początku, wiekuistość, nieśmiertelność. Tak krąży życie powszechne w przerodzie, tak krążą soki organiczne, *tak żyje ludzkość cała*“ (68). Rozumie-

my początek tego ustępu, który krążenie ciał niebieskich przedstawia jako rezultat działania dwóch sił rzutu i przyciągania; już mniej jasnym jest związek między temi dwiema siłami a krążeniem soków organicznych, ale zawsze jeszcze myśl uchwytna ale już ostatnie słowa „tak żyje ludzkość cała“—są wyrażenia tajemnicze. A choć autor ten pomysł ciemny w rozmaitej formie kilkakrotnie powtarza, nie umie wytłomaczyć nam go, bo zapewne dla niego nigdy jasnym nie był. „Tak się kręci— powiada S.—w powietrzu kij w jeden uderzony koniec, tak leci ziemia jedną potrącona hemisferą, taki *ruch kręty widzimy w każdem świeżo poruszonem towarzystwie*, bo nigdy siła nowej idei, nowa siła rzutu, nie uderzy naraz we wszystkie jego części.“ Rozumiemy, co jest kręty ruch kija w powietrzu, ale co jest „kręty ruch w towarzystwie?“ W każdym zaś razie, kto o „krętym ruchu w towarzystwie“ mówi, może to tylko czynić używając przenośni lub analogii—które w nauce nie mają wagi. W nauce mamy prawo żądać jasnych myśli; przenośnie, analogie i porównania o tyle tylko są tu właściwe, o ile przyczyniają się do ułatwienia wykładu, do uwydatnienia myśli—ale samemi przenośniami i analogiami żadna umiejętność nie może się zadawalać, bo one same nigdy myśli jasnej nie zastąpią; co więcej nie tylko nam nie dają możności kontrolowania prawdy, ale najczęściej także wypierają autorów z drogi trzeźwych myśli na manowce fantastyczności i—*złudzeń*. Niech czytelnik sam sądzi:

„Przewaga *siły przyciągania*—powiada Sup.—sprawia, że kamień młyński leci *cały* wirowym pędem; przewaga *siły rzutu* rozsadza go na części, niemi ściany przebija i ludzi morduje. *Oderwane od środka ciążenia społeczne jednostki, rozbiegają się w kierunku odśrodkowym, niosąc często podobne mordy i pożogi.*“ Nie potrzebuję chyba dowodzić, że to zestawienie kamienia młyńskiego z jednostką społeczną wypadło dość niefortunnie. Nie wątpię, że na dnie duszy autora, kiedy słowa te pisał drzemała jakaś myśl, albo raczej jakieś uczucie— a u Supińskiego uczucia są zawsze szlachetne. Otóż „oderwana od środka ciążenia jednostka społeczna“ budzi w nim zgrozę; kto wie czy byłemu emigrantowi nie nasunęły się w tej chwili jakieś ciemne strony „oderwania jednostek od środka ciążenia“—czy jakieś uczucie posępne, jakaś myśl smutna nie mignęła na tle jego wspomnień: ale skąd racya porównania „oderwanej od środka ciążenia jednostki“ z rzuconym kamieniem młyńskim, który rozsadza ściany—i co znaczy porównanie z dodatkiem „często?“ Owszem, więcej prawdy możeby było w twierdzeniu, że zwykle tylko takie społeczne jednostki niosły mordy i pożogi, które nie były oderwane od środka ciążenia. Ale dość o tem!

Sądzę, że czytelnik sam oceni, jak niebezpiecznemi dla prawdy i umiejętności są te analogie i porównania, podjęte tylko w celu wykazania, że „prawa fizyczne powtarzają się w świecie umysłowym,“ że „co jest prawem świata fizycznego, nie przestanie niem być w dziedzinie ducha“ (75).

A jednak, pomimo wielkiej śmiałości w przenośniach i Supiński zmuszony jest przekształcać te „siły“ i różne nadawać im nazwy, w miarę jak z jednej dziedziny zjawisk przechodzi do innej. I tak choć w rozdziale „pra-prawo“ kilkakrotnie powtarza że „dwie tylko siły istnieją w przerodzie“ siła rzutu i przyciągania, że to są „dwie *jedynie istniejące* siły“ i że już „*nigdy nie powstanie siła trzecia*: zwracając się do świata zwierzęcego, zmuszony jest wziąść na pomoc trzecią: *siłę rozkładu*, którą wszakże stara się przedstawić jako odmianę siły przyciągania. W świecie zwierzęcym bowiem miał wytłomaczyć zjawisko śmierci, czego samą siłą przyciągania objaśnić nie zdołał. Pomaga sobie więc następującą argumentacyą: siła przyciągania pojawiać się musi dwojako. „Jest ona rzeczywiście przyciąganiem, pokąd utrzymuje całość pojedynczego ciała, spajając w jedno wszystkie składające jej części; staje się siłą rozkładu gdy przyciąga i łączy jednorodne lub pociągliwe nawzajem pierwiastki, tj. cząstki rozrzucone po ciałach oddzielnie istniejących, zatem bez względu na też ciała.“ Są to dosyć dowolne tłomaczenia i kombinacye, ale koniec końców nie mogąc wytłomaczyć wszystkich zjawisk temi dwiema „*jedynie istniejącemi*“ siłami, przyprzągł trzecią siłę „rozkładu“ żeby z ciężkim wozem systemu swego łatwiej wyjechać na bity gościniec. Rozpatruje więc najprzód działanie „siły rozkładu w powszechności“ a to na tle przyjętej przez niego prawdy *wieczności materyi i siły*. „Skorupa ziemi składa się z samych niemal pierwiastków żywotnych podzielnych do nieskończoności, *których zasób nigdy się nie zmniejsza, siła nigdy nie usypia, własności nigdy nie słabną*; z pierwiastków, które nigdy nie były młodszemi i nigdy starszemi nie będą.“ „Te pierwiastki i dwie powołane siły (rzutu i rozkładu), po za któremi nie ma istnienia i ruchu, są źródłem wszystkich czarujących przerody pojawów, są życia wszelkiego zarodem i podstawą.“ Głęboką myśl wypowiada Sup. w ustępie: „Przeobrażenie szybkie istot organicznych, odbywające się przed oczami naszemi, jest dla nas pewnikiem, wiedzą wykończoną, prawdą pełną; bo doświadczenie jest jego prawdziwości rękojmią. Fenomena, których rozległość sięga dalej, niż zmysły nasze sięgnąć mogą, których trwanie przechodzi życiu naszemu zakreślone granice, zobojętniają poszukiwania, lub budzą w nas wątpliwość tam nawet gdzie człowiek drogą następstw zaspokoił surowy sąd rozumu. Nie towarzyszymy powstaniu i niknieniu kamienia; nie znamy stosunku zachodzącego między atomami ciał niebieskich. Lecz któż wie czy stygnięcię i tężenie ziemi nie jest dojrzewaniem młodej jeszcze latorośli lub starzeniem się twardniejącego już dębu?“ W takich myślach często u Sup. napotykających się leży dużo fermentu umysłowego; pobudza on do myślenia, co może największą jest zasługą jego dzieła, które dodatnich rezultatów nie daje, ani w sposób konsekwentny głównych zasad, na wstępie wypowiedzianych, nie przeprowadza. Bo przecież kolejne wyliczanie i przypisywanie zjawisk rozkwitu, siły, młodości, życia—sile rzutu, a zjawisk pruchnienia gnilizny, śmierci sile rozkładu, nie jest jeszcze umiejętnem przeprowadzeniem, tem mniej udowodnieniem. W ten sposób jednak przeszedłszy objawy siły rozkładu i rzutu *w powszechności* (tj. w naturze fizycznej, roślinnej i zwierzęcej) zwraca się Sup. do wykazania zjawisk sił tych u człowieka i w społeczeństwie.

„Człowiek istnieje w trzech organizmu stopniach: jest rośliną, zwierzęciem i rozumem“ „żyje siłą rośliny, przyjmuje wrażenie zwierzęcemi zmysłami, a sądzi ducha potęgą“ (104). W rozwoju jednostki widzi autor rozwój „siły rzutu“ właściwej każdej jednostce; ale znowu ta sama „siła rzutu“ nie wystarcza mu do wytłomaczenia wszystkich zjawisk rozwoju ludzkiego. „Ażeby człowiek—powiada on—z tak kruchych wątków tak rozlegle rozpostarł panowanie, musiał mieć ku temu siły olbrzymie; siły tem więcej zadziwiające, że sam był tej wielkiej budowy (cywilizacyi) robotnikiem i materyałem. *Gdzież są te siły? W jego wiedzy.*“ Żeby jednak kto nie sądził, że to są jakieś nowe siły, autor dodaje zastrzeżenie, że ta „duchowa część życia człowieka“ jest „część *siły rzutu* jemu samemu właściwa“ (138). Tak przechodzi do rozbioru psychologicznego władz umysłowych człowieka—tych „sił,“ które są „częścią siły rzutu.“ Wylicza: pojęcie, uczucie, pamięć, wyobraźnię i sąd, poczem powiada: „Powyżej tych pięciu pokładów jednolitej umysłowej całości stoi jej część najokazalsza, znamię samodzielności człowieka: jego wola, wolność.“ Co następnie Sup. o wolnej woli człowieka mówi trudno znowu pogodzić z wypowiedzianemi przezeń przedtem zapatrywaniami monistycznemi. Bo albo cząstka podlega, jako cząstka wszechświata, „*powszechnym prawom,*“ albo nie; jeśli im podlega, wtedy wolnej woli nie ma; jeśli jest wolna wola, to „powszechne prawa“ nie posiadają władzy nad człowiekiem. Tu nie ma innej drogi—przynajmniej dla logicznego rozumowania. „Wolna wola“ jest mu koniecznie potrzebną; różne uczucia i narodowe i religijne składają się na to, aby dla niego „wolną wolę“ uczynić niezbędną. Jest to jakby stary mebel z którym właściciel rozłączyć się nie może. „U nas—powiada on—*wolność* jest tylko jedna, jak jedną jest *wola* człowieka. Ta naczelna i kierująca trybem życia naszego potęga oddzieliła nas stanowczo od reszty istot martwych i żyjących; a jeżeli jest prawdą, że człowiek w łonie swojem nosi bóstwa zaród, tym świętym zarodem jest wolna wola.“ Tu oczywiście nie przemawia już *myściciel* Supiński który potępił wielkie „rozumowanie *a priori*,“ ale ów drugi Supiński, stojący na gruncie starych tradycyi. Ten zaś tak dowodzi: „Stwórca, dając człowiekowi tę straszną potęgę, ten miecz obusieczny, losy jego poruczyć musiał (?) jemu samemu; bo czemże byłaby wola, której wolec nie wolno? Człowiek bez woli nie byłby człowiekiem; człowiek z wolą staje się półbogiem lub czartem itd.“ Tego drugiego Supińskiego nie mamy potrzeby zbijać; czytelnik już wie, że on posługuje się argumentami *a priori*, które pierwszy Supiński potępia. Czy Stwórca dał człowiekowi wolę, czy mu ją dać musiał i dla czego mu ją dać musiał—to są rzeczy, których umiejętność sprawdzić nie może: my o tem nic nie wiemy i dziwimy się tylko, skąd o tem ma wiadomość Supiński. Szczęściem, że po każdej takiej wycieczce w sferę uczuciową wraca on na grunt realny, po uczuciu zabiera znowu głos rozum: „Gdyby wola człowieka, wznosząc się po nad inne części jego duchowej potęgi, mogła istnieć niezawiśle od nich i stanowić w nim oddzielną całość, wtedy człowiek przestałby być jednostką, miałby dwie siły rzutu, zatem dwa istnienia. Wola jego wszakże opiera się na jego sądzie; sąd na wcześniejszych *wrażeniach*.“ A więc jednak wola jest *zawisłą* a mianowicie od *sądu* i od *wrażeń* sąd poprzedzających. Co jest *zawisłem*—nie jest *wolnem*. Przyznaje to zresztą i Sup. mówiąc, że „wykształcenie pojęć, uczuć i sądu *kieruje* wolą człowieka“—ale żeby zarazem pocieszyć człowieka po odmówieniu mu wolnej woli dodaje że i „mądrość Bóstwa kierowała jego twórczą wolą.“ Dla nas ten ostatni argument *a priori* jest zbyteczny: do naszego przekonania trafia i bez niego zdanie o zawisłości woli od innych czynników moralnych i fizycznych w człowieku, rozwijających się równie prawidłowo, jak wszelkie inne objawy świata. Dla nas wola człowieka jest koniecznym wynikiem *pobudek* a pobudki koniecznym wynikiem okoliczności i położenia wpływających na jednostkę. (D. n.).

L. Gumplowicz.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, 1885, marzec.

„Ehrengabe“ dla ks. kanclerza i różne kwasy z tego powodu. — „Biruta“ litewska w Tylży. -- „Unia“ nowojorska zgasła. — Fischhof o sprawie językowej w krajach różnoplemiennych. — Mapa wyborcza niemiecka. — Małżeństwo następcy tronu badeńskiego.— Profesor Leger. — Dwa słowniki. — Duch Mickiewicza przemówił przez pana S. — Doktor Bein.

Trudno jest nie pisać satyry, patrząc na to, co się tu dzieje z „poczestnym upomin-

kiem“ dla księcia kanclerza. Coś nakształt naszej sprawy z pomnikiem Mickiewicza, tylko ogromna różnica w celu i szczerości, a zapewne i w przyszłym obrocie rzeczy. I tu i tam komitet niedogadza publiczności; i tu i tam wstrzymanie zgromadzonych pieniędzy, podejrzenia o podstęp i prywatę.

Parę miesięcy temu narodziła się w Wrocławiu myśl uczczenia siedmdziesiątletniej rocznicy urodzin ks. Bismarka składką narodową na... otóż w tem trudność, na co? Głos ogółu powiada: na jakąś fundacyę pożytku publicznego imienia ks. kanclerza; dziś głos komitetu berlińskiego powiada: na prywatny, a raczej dowolny użytek jego. Z początku jednak komitet niewyraźnie cel określał, a dzienniki dawały do zrozumienia, że przeznaczeniem ofiary narodowej będzie jakiś zakład, fundusz, lub stypendyum pożytku ogólnego. Składki posypały się obficie; złożono po dziś dzień przeszło 2,100,000 marek. Ale już kilka tygodni temu na korytarzach sejmowych w Berlinie poczęto mówić o konieczności „zaokrąglenia“ prywatnego majątku rodziny Bismarków za pomocą kupna dóbr Schönhausen, które należały do niej niegdyś, ale zostały „sprzedane,“ czyli „przehulane,“ jak piszą dzienniki niezależne. Pojawiła się ta pogłoska i w dziennikach. Oburzano się na samą myśl takiego użycia składki; tymczasem komitet, upoważniony do zbierania jej (tylko do zbierania!) milczał uparcie, a w milczeniu traktował z obecnymi właścicielami dóbr Schönhausen o ich nabycie. wcale nie zważając na głosy oburzenia, pochodzące nietylko z obozów nieprzychylnych rządowi, ale nawet z wiernopoddańczych.

Kilkanaście dni temu wyczytujemy w dziennikach nie już pogłoskę, ale wiadomość o czynie spełnionym: komitet przyznał pierwszą nagrodę Dykasowi... chciałem powiedzieć: kupił Schönhausen dla kanclerza za półtora miliona marek. Oburzenie w kołach najgorętszych nawet „heidelberczyków“ (tak tu nazywają gorliwszych nacyonał-liberałów), a tem bardziej w sercach malkontentów wszelkich odcieni. Komitety miejscowe południowo-niemieckie oświadczają, że na taki cel pieniędzy nie wydadzą, bo ofiarodawcy mieli na myśli nie zaokrąglanie folwarków księcia pana, ale fundacyę jego imienia na pożytek kraju. Dzienniki, nawet narodowo-liberalne, wręcz powiadały, że ofiarowanie i przyjęcie dóbr przyniosłoby wstyd i dającym i biorącemu.

Tymczasem w komorze kopalni węgla kamiennego, zwanej Camphausen (pod Saarbrücken, w prowincyi nadreńskiej) zachodzi znana czytelnikom straszliwa przygoda: ze dwustu robotników uduszonych, kilkaset wdów i dzieci bez chleba. Dzienniki wzywają do składek na te ofiary niedbałości zarządu kopalni, Przypływają one prędko i ochoczo, a ofiarodawcy, posyłając pieniądze, takie dopisują legiendy i ucinki: „Rodzina NN., zamiast na składkę dla Bismarka, NN. marek“ (takich bardzo wiele); „Helena i Marya P.: lepiej wspierać biednych, niż bogatym wsie kupować, 3 marki;“ „Lepiej *coś dobrego* na Camphausen, niż *dobra* Schönhausen, 4 marki;“ najdowcipniej i najzwięźlej wyraził się jakiś „niezamożny,“ ofiarując 51 fenig: „Lepiej na Camphausen, niż na Schönhausen.“

Nic bo jednak nie pomogło: Schönhausen kupiono i odrysowano już w *Illustrirte Zeitung*. Parę dni temu zjechało się do Berlina czterdziestu przedstawicieli z całych Niemiec, jako „wydział administracyjny“ (komitet główny siedzi cicho, bo już swoje zrobił); krzyczeli, kłócili się; jeden z nich (Windscheid) powiedział, że prawdziwym kapitałem Bismarka jest popularność, a darowizna majątku będzie „klęską narodową,“ jednakże skończyło się na tem, że figiel komitetu głównego zapisano na karb „nieporozumienia,“ a większość zatwierdziła kupno; tylko sześciu delegowanych było przeciwnego zdania.

Jeżeli wolno mówić tu o „nieporozumieniu,“ to chyba w jakiemś nowem znaczeniu tego wyrazu. Program składki brzmiał właściwie tak: zebrać pieniądze i wręczyć ks. kanclerzowi, aby niemi rozporządził na pożytek kraju, w sposób, jaki uzna za najwłaściwszy. Trudno przypuszczać, iżby komitet berliński, kupując Schönhausen, nie był się porozumiał z Bismarkiem; oczywiście więc sam kanclerz uznał kupno dóbr dla siebie za najwłaściwszy sposób przyniesienia pożytku krajowi. Kraj — to ja; któż krajowi więcej odemnie pożytku przyniósł i przynosi? Logika nader przekonywająca, szczególnie gdy się jej przesłanki układają dla miłego grosza. Niema powodu do wrzawy. Jeżeli są uparci, co dowodzą, że dawali z inną myślą, to się i im dogodzi: zostało jeszcze około ośmiuset tysięcy marek, można więc za nie szpital jakiś założyć. Tak więc będzie i wilk syty i koza cała.

Nim jednak nie nadszedł dzień uroczystego primaprilisu (jest to dzień urodzin kanclerza), dzienniki opozycyjne nie przestają kłuć szpilkami nowonabywcę Schönhausenu. Przypominają o bezinteresowności Garibaldiego, Moltkego (jak wiadomo, ten ostatni nie przyjął ofiarowanego sobie miliona z kontrybucyi francuskiej, którym książe kanclerz nie wzgardził); przytaczają fakt, że gdy „maleńkiej ekscelencyi“ (*kleine Excellenz* nazywają Windhorsta, z powodu niskiego wzrostu jego) ofiarowano śliczną „willę Windhorst“ u stóp Harcu, były minister hanowerski wręcz odmówił jej przyjęcia; a co najpocieszniejsza, poważnie dowodzą, że cała ta sprawa ofiarowania dóbr Schönhausen jest komedyą w guście ks. Bismarka, który lubi pasyami niespodzianki i na prima aprilis oświadczy głośno, iż przyjęcie daru narodowego w postaci dóbr ziemskich uważałby za wstyd dla siebie, bo dość już jest bogatym i hojnie opłaconym, że więc zrzecze się tego upominku i przeznaczy go na fundacyę narodową...

Jakikolwiek użytek uczynią szafarze reszty składek, za to ręczyć można, iż ani feniga nie dadzą na „Birutę.“ Co to jest „Biruta“ — pytasz mię czytelniku? Jest to rodzące się w Tylży towarzystwo litewskie, którego ustawę streszczam tu w kilkunastu wierszach. Cel: podźwignienie, podtrzymywanie i ożywianie języka litewskiego, więc wydawanie książek naukowych, założenie księgozbioru i muzeum starożytności, wydoskonalanie mowy litewskiej i oczyszczanie jej od obcych naleciałości. Członkami „Biruty“ mogą być osoby płci obojej; dzielą się na uczonych i honorowych; pierwsi wnoszą po 10, drudzy po 50 i więcej marek rocznie; przyjmuje i wybiera ich zarząd towarzystwa. Członkowie mają prawo bywania i głosowania na zgromadzeniach towarzystwa, oraz bezpłatnego otrzymywania pism, ogłaszanych jego nakładem. Zgromadzenia bywają zwykłe miesięczne i walne na św. Jan. Zarząd składa się z przewodniczącego, trzymającego pióro, skarbnika i bibliotekarza. § 26, wydrukowany bujnemi czcionkami, opiewa: „Na zgromadzeniach towarzystwa panuje język litewski;“ następny zabrania rozpraw politycznych i religijnych. Na pieczęci „Biruty“ figurować ma pogoń, tytuł towarzystwa i rok założenia. Jako członkowie założyciele podpisani na statucie panowie Jankus z pod Łumpian, Mikszas z Ragnety, Woska i Weyeris z Tylży.

Tak więc z inicyatywy czasopisma *Auszra*, trzeci rok już wychodzącego w Tylży, powstaje tam Towarzystwo przyjaciół litewszczyzny. Spodziewać się należy, iż goręcej i z większą wiarą zabierze się ono do pracy od istniejącego tam już od lat kilku towarzystwa literackiego litewskiego, które w programie swoim wypisało „ratowanie zabytków skazanej na prędką zagładę prawami natury i rozwoju dziejowego mowy litewskiej“ (!). Sam fakt powstania „Biruty“ zadaje fałsz niemieckim prorokom „Towarzystwa literackiego.“

Próbowano niedawno wydawać tygodnik litewski na drugiej półkuli, w Nowym Yorku; były w nim „artykuły o kmiotkach i uciemięzycielach“ (pisownia prospektu); nazywał się *Unia*, miał dążność bardzo uczciwą i pojednawczą; kazał sobie nadsełać roczną przedpłatę w ilości 3 dolarów, ale na numerze ósmym... skonał. Panie, świeć nad jego duszą; za jej spokój niech szanowna jego redakcya każe mszę solenną odprawić za zebrane na roczną przedpłatę dolary...

Zdaje mi się, że drugą połowę stulecia naszego potomność nazwie wiekiem Darwina i sporów plemiennych, albo raczej, mówiąc grzeczniej, budzenia się poczucia narodowości. Sama w sobie idea ta jest szanowną, tego zdaje się nie trzeba dowodzić. Ale między ideą a jej wykonaniem leży cała skala, cała przepaść kłótni, zawiści, krzywd i gwałtów. Ogromna większość ludzi póty na tę dążność zapatruje się bezstronnie, nawet sympatycznie, dopóki nie zaczepi ona własnych ich kopców, które zwykli nazywać prawami historycznemi, państwowemi, cywilizacyjnemi itd. Dziwne się przedstawia widowisko: ludzie wyższego nawet umysłu, mężowie stanu, filozofowie, słowem przodownicy narodów, póty tylko umieją być sprawiedliwymi i bezstronnymi, póki chodzi o cudze sprawy. Niechże tylko ktoś się poważy prowadzić granicę wedle nowego planu przez ich własny ogród, wówczas z przodownika staje się najprostszy wstecznik i rzuca się jak brytan na mniemanego napastnika. Są rządy, są narody całe, które umieją współczuć, nawet dopomagać wcielaniu idei tej u sąsiadów, ale srogimi są tygrysami u siebie, w domu. Przytaczałem już przykład niemców, którzy tak sympatycznie witają np. budzenie się plemienności flamandzkiej, ale w Sztrazburgu lub Poznaniu nie mogą się zdobyć na elementarną sprawiedliwość. Można to w części zastosować i do pana Fischhofa, autora świeżo ogłoszonego pisma p. t. „Prawa językowe w państwach o narodowości mieszanej (*Die Sprachenrechte in der Staaten gemischter Nationalität*, Wiedeń, 1885). Stara się on być bezstronnym; pogląd jego jest szczerze liberalny; dążność pojednawcza, pokojowa; a jednak, gdy dotyka słowian, czuć w nim niemca, czuć w nim rodaka Hartmanna.

Chodzi mu głównie o dopomożenie rozwikłaniu sprawy językowej w Austryi, a przedewszystkiem w Czechach. Więc aby rzecz jaknajszerzej i najpraktyczniej przedstawić, zestawia obraz porównawczy krajów o narodowości mieszanej. Mówi naprzykład o Indyach angielskich i chwaląc prawdziwie liberalną a rozumną politykę anglików w tym względzie, okazuje, iż tam sporów ani niechęci z powodu faworyzowania jakiegokolwiek języka zgoła niema, bo rząd uwzględnia wszystkie i wszędzie, z wyjątkiem jedynie sądu najwyższego, w którym cały proces odbywa się po angielsku, chociaż, ma się rozumieć, z prawnem uznaniem tłomaczeń i tłomaczów. W Kanadzie i Szwajcaryi panuje bezwarunkowe uznanie języków miejscowych: każdy i wszędzie, nie wyjmując parlamentu, przemawia i pisze w języku macierzyńskim; wszelkie dekrety i rozprawy sejmowe ogłaszają się też we wszystkich językach miejscowych: w Kanadzie, po angielsku i francusku; w Szwajcaryi po niemiecku, francusku i włosku.

Belgię i Czechy autor stawi w paraleli, liczba bowiem flamandów i czechów w stosunku do francuzów (a raczej walonów) i niemców ma się i tu i tam, jak 3 do 2. Bardzo pouczającą jest niedawna historya stopniowej emancypacyi flamandów: przed

laty trzydziestu mowę ich i publicznie i prywatnie uważano za dogasający szwargot nawpół holenderski; dzisiaj wprowadzona do szkół i sądów, wkrótce zadźwięczy z katedr uniwersyteckich. Równolegle z tem wyzwoleniem odbywa się wyswobodzenie ciemnego dotąd gminu z rąk duchowieństwa wiejskiego, które samo tylko dotychczas przemawiając do ludu po flamandzku, kierowało nim jak i dokąd chciało, co widzieliśmy niedawno przy dojściu do władzy ministerstwa obskurantów.

Co do Czech, pan Fischhof doradza, aby czesi porozumieli się serdecznie z niemcami i nie drogą dekretów rządowych, ale po bratersku sprawę językową załatwili; radzi też, aby dokładniej niż dotąd ograniczono kompetencyę sejmów i rady państwa w tym względzie, w niedostateczności ścisłego określenia ich władzy upatrując źródło ciągłych niesnasków. Ta ostatnia uwaga wydaje mi się nader słuszną; co do pierwszej, godzi się zauważyć, iż dopóki niemcy w Czechach nie przestaną się uważać za panów dziedzicznych i cywilizatorów kraju, dopóty serdeczne porozumienie nie nastąpi; możebnem ono będzie wtedy tylko, gdy żywioł giermański uzna siebie za zupełnie równy ze słowiańskim, a to zapewne nie prędko nastąpi, ile wnosić można z wybujałej zarozumiałości niemieckiej, tak dotkliwie dającej się odczuwać od Renu po Wisłę.

A jednak, coraz to mniej zaczyna mieć ona racyi bytu. Spójrzmy na ciekawą mapę, którą widzieć można obecnie w oknach każdej księgarni. Nazywa się „Mapą wyborów sejmowych“ (*Deutsche Reichstags-Wahlkarte*) 1871, 1878, 1881, 1884 — liczby te odznaczają cztery obok siebie postawione mapki, a na nich różnemi barwami ukazują się obręby stronnictw parlamentu. Na pierwszej panują narodowo-liberalni; inne partye świecą się jak niewielkie plamki; socyalna wyróżniona czarnym kolorem, wygląda jak mały kleks koło Lipska. Potem obszar różowy (narodowo-liberalnych) stopniowo maleje; a na osobnej, z r. 1884, figuruje już jako plamy sporadyczne; za to żółty (centrum) rośnie jak na drożdżach, a czarny rozpełza się po całych Niemczech, siadając niewielkimi, ale gęstymi liszajami od wschodu do zachodu. Żywioł polski, zielony, najwięcej przestrzeni zajmuje w r. 1881; jednakże w roku 1884 więcej niż w 1871.

Tutaj, w badeńskiem, nieprzychylne rządowi stronnictwa cieszą się ostatnimi czasy z zamierzonego wkrótce małżeństwa następcy tronu badeńskiego z księżniczką nasauską, córką wydziedziczonego, a tem samem wrogo dla Berlina usposobionego dynasty.

Na zakończenie trochę nowin literackich i nieliterackich. Wiecie już zapewne, że pan Leger mianowany został profesorem kolegium francuskiego, na miejsce rodaka naszego Al. Chodźki. Wkrótce w Bibliotece powszechnej gienewskiej ukaże się jego studyum o Kochanowskim, które miałem sposobność czytać w korekcie: rzecz zwięźle a gładko napisana, zajmująca jako sąd cudzoziemca o poecie naszym.

Nadesłano mi przed kilku dniami z Krakowa tom pierwszy słownika synonimów polskich, dzieło biskupa A. S. Krasińskiego. Ile z powierzchownego rzutu oka wnosić mogę, w pracy tej otrzymujemy ważny i wysoce pożyteczny przyczynek do leksykografii naszej. Wkrótce nadeszlę obszerne o nim sprawozdanie, a tymczasem notuję tylko pomyślny ten nabytek i wiążę wzmiankę o nim z zapowiedzią drugiego słownika, służyć mającego za dopełnienie do słownika Lindego, z przykładami na każdy wyraz (a ma być ich tj. wyrazów 10,000) z dzieł pisarzy najnowszej doby; autorem ważnej tej pracy jest p. Józef Bliziński.

Nie mogę się nie podzielić charakteryzującą nas wogóle, a Kraków w szczególności wiadomostką, której mi ze smoczego grodu udzielono. Przed samem rozpoczęciem posiedzenia *jury* pomnikowego, niejaki S. (niepodpisany) nadesłał następną wskazówkę ze sfer nadziemskich: „W niedzielę byłem na wystawie projektów na pomnik Mickiewicza. Tego samego dnia trzymałem stolik spirytystyczny. Na żądanie Mistrza przyniosłem katalog. Mistrz wskazał Nr.... *); później kazał sobie podać bilet i pokierował mą ręką poniższe wyrazy. Wszystko to działo się przy świadkach, a ja i takowi możemy to stwierdzić przysięgą.

„*Ja, duch Adama Mickiewicza, proszę i rozkazuję, abyście mi wystawili pomnik Nr... Adam Mickiewicz.*“

Gdyby list mój nie urósł już do rozmiarów, przechodzących cierpliwość czytelników i redakcyi, rozpisałbym się, z powodu tego humbugu, o „uczłowieczonych cygarach“ profesora Jägra, najnowszym jego figlu, godnym elizejskiej rekomendacyi projektu na pomnik... Poszukajcie sami, znajdziecie o tem zapewne wiadomość w dziennikach.

Na początku marca wydoktoryzował się tutaj z chemii rodak nasz, p. Samuel Zygmunt Bein, z Kałuszyna w Galicyi.

Jan Karłowicz.

*) Nie wymieniam numeru, aby nie uczynić przykrości autorowi odnośnego projektu, przypuszczając, iż nie zostaje on w żadnym stosunku z nalwnym zwolennikiem mądrości nóg stołowych.

TEATR.

Występy panny Pospiszylówny. *Kato niezłomny* komedya w 3 aktach Laubego, przekład Maryana Gawalewicza.

Płytkość i ciasnota gustów pewnych warstw publiczności naszej, które uważają się same za śmietankę towarzyską, staje się po prostu nieznośną. Po za granicą komizmu w sztuce poważnej to tylko, co jest banalnem, wymuskanem, pospolicie zręcznem zyskuje jej poklask i budzi zajęcie; czasem tylko w wyjątkowych razach da się ona poruszyć nowością, leżącą w duchu chwili, albo też zręczną reklamą. Taka jałowość i płaskość upodobań filisteryi odbija się mocno na rozwoju obecnego dramatu, tembardziej że kierownictwo artystyczne nie jest tak prowadzone, aby zawrócić gusta w kierunku szlachetniejszym. Doświadczyła tego usposobienia niepospolita artystka czeska, na której pewne sfery publiczności poznały się tak, jak kury na pieprzu. Panna Pospiszylówna posiada talent wybitny, na wskroś realistyczny, odczuwa do głębi przedstawianą postać, wciela się w nią tak, że każde słowo wypowiedziane przez nią zdaje się wychodzić z głębi duszy. Posiada ona środki wyrażania uczuć silnych i głębokich które przenikają prosto do duszy... Ale dla naszych wycackanych lafirynd, albo wypomadowanych salonowiczów daleko lepiej przemawiać do oka, niż do duszy... Ponieważ plastyczna strona gry panny Pospiszylówny nie posiada szyku i elegancyi żurnalowej, w naszym warszawskim guście, więc publiczność dystyngowana przeoczyła wszystkie jej zalety — a nasze „damy“ i nasi szykiści, ze zwykłą stanowczością sądów orzekli, że gra artystki czeskiej „du mauvais genre.“ Tak w swoim czasie było z dzielnym i potężnym talentem pani Deryng-Walewskiej, którą za jedną *Fedrę* cenionoby we Francyi bardzo wysoko a u nas nie przebaczono jej nigdy pewnych zewnętrznych braków, gdy tymczasem niejeden blichtr artystyczny mydli oczy naszym „wybrednym“ widzom... Wracając do panny Pospiszyl, jestto artystka z talentem przeważnie tragicznym, któremu za ciasno w ramach zwykłej komedyi, dla tego też największe w jej grze zrobiły wrażenie ostatnie sceny z Fausta, w których Gretchen przeistacza się ze zwykłej dzieweczki w bohaterkę, szarpaną bólem, cierpieniem i obłędem. W początkowych scenach brak trochę było pannie P. dziewiczej prostoty, chociaż w pojęciu doskonale uchwyciła typ Göthego; ale piąty akt poruszał do głębi potęgą i prawdą, odtworzoną dosadnie, realistycznie, ze śmiałością i rzutkością, która się nie ogląda na zwykłe szablony sceniczne i poświęca chętnie wytworność dla prawdy. W tych scenach oraz w 5-ym akcie dramatu Wiktora Hugo *Marion Delorme*, granym w formie wyjątku na pożegnalnem przedstawieniu, artystka uwydatniła potężnie ból i rozpacz w tak wzruszających akcentach, że tylko wielki talent i z wielkim głosem może się zdobyć na podobne łudzące i prawdziwe objawy uczuć. We *Frou-frou* siła odczucia była równie mocna: ostatni akt wycisnął niekłamane łzy z oczu, chociaż gra w miejscach dramatycznych dźwięczała często nadmiarem tragiczności. W komedyi Sardou *Rozwiedźmy się* najbardziej był widocznym brak elegancyi, który na scenie czeskiej podobno nie razi słuchaczy; ale za to artystka znakomicie odtworzyła cały proces psychiczny, cały przebieg uczuć, a głos jej drgał nienaśladowaną prawdą i szczerością. Wogóle talent to niepospolity, żywotny, rozwijający się szczęśliwie, który wobec poważnych gustów publiczności czeskiej ma przed sobą świetną karyerę na pobratymczej scenie.

Krótko się załatwię z ostatnią nowością dramatyczną, gdyż nie przedstawia ona materyału do uwag głębszych a żywotnych. *Kato niezłomny* (Cato von Eisen), trzechaktowa komedya Laubego, jest sobie bardzo średnią, czysto niemiecką sceniczną robotą, która ma o tyle prawo bytu na naszej scenie, o ile... gra w niej Żółkowski... Kto chociaż z opisu zna społeczeństwo niemieckie, ten łatwo zrozumie, że sztuka ta przesadzona na grunt obcy, traci swój charakter. Głównem jej zadaniem, przeprowadzonem zresztą nie najgorzej, chociaż nieświetnie, jest przemiana moralna człowieka, który skostniał pod wpływom puryzmu. Kato v. Eisen jest jednym z nieznośnych produktów protestanckiego rygoru moralnego. Jest to człowiek żyjący w ciągłej moralnej samo-kontroli, pojmujący cnotę i doskonałość ze strony pedanckiej i estetycznej, niewyrozumiały na błędy i słabości ludzkie, noszący na twarzy kamienną maskę prawowierności obyczajowej. Otóż przełamanie tej natury, zrzucenie tej maski, zerwanie z zewnętrznym formalizmem dla prawdy wewnętrznej, dla uznania swobody uczuć i namiętności—stanowi główne psychologiczne zadanie autora, który je przeprowadził dość powierzchownie. Inne postacie noszą na sobie piętno charakterystki niemieckiej, całość prowadzona ręką biegłego dramaturga, nie budzi jednak żywszego zajęcia: z początku wlecze się leniwo a potem wpada w farsową plątaninę. Dla nas, przyzwyczajonych do zręcznych płodów francuskich, ta wytrawnie i poprawnie napisana sztuka jest bladą, tembardziej, że w wykonaniu artystów, nieznających życia niemieckiego, z konieczności musi utracić trochę typowego kolorytu. Odbiło się to wyraźnie na grze p. Tatarkiewicza, który przeprowadził z wybornem zrozumieniem genezę głównej postaci, umiał połączyć powagę z komizmem, w przeprowadzeniu walki wewnętrznej i urabianiu się charakteru, grał starannie i skończenie, ale po francusku raczej, niż po niemiecku, przez co postać Katona musiała stracić swój specyalny charakter.

Nie bardzo był niemcem Żółkowski, ale jak świetnie spotęgował rolę barona Eisensteina, jak dobrze odtworzył dobroduszność, która sili się na powagę zwierzchniczą, jak spoił wybornie ten kontrast pana domu, przejętego swą zwierzchniczą rolą, z jowialną pogodą dobrotliwego staruszka! Cóż dopiero mówić o dzielnem wyzyskaniu komicznych efektów, w wydobyciu i opracowaniu szczegółów — było to prawdziwie godne Żółkowskiego, do którego chyba tę można mieć pretensyę, że swym talentem galwanizuje słabe utwory.

Doskonałym był także p. Prażmowski, który swą młodzieńczą werwą, szykiem i grą pełną ciepła i życia całą sztukę ożywiał. Pomagała mu w maleńkiej rolce panna Czaki, ale za to panna Wisnowska zamiast właściwie oddać rolę sentymentalnej Sygielindy, ubrała ją w stereotypowo uśmieszki i rozkoszne minki, które mogą się podobać pewnej części widzów, ale zupełnie nie odpowiadały intencyom utworu. P. Stromfeld w drobnej roli sędziego śledczego potrafił stworzyć bardzo typową i zabawną postać przejętego swą powagą dygnitarza.

Przekład p. Gawalewicza jest tak płynny, potoczysty i pełen naturalnej swobody słowa, że szkoda było dobrej roboty dla przyswojenia miernego produktu germańskiej muzy dramatycznej.

S. K.

LIBERUM VETO.

Panowanie pieczonego prosięcia. — Rozmyślania między pierwszą a drugą wystawą kucharską. — Wszyscy nagrodzeni. — Listy pochwalne za importowanie piwa pilzneńskiego i herbaty. — Co za cel? — Jaka wystawa byłaby pożyteczną dla ogółu. — Poezya spożywcza.— Zmarnowane talenty. — Bezwstyd wstydliwy. — Szynka z p. Pindtera. — Szczęśliwi niemcy. — Zniechęcony patryota.

Maluczko, a każde pieczone prosię będzie na siebie zwracało więcej uwagi, niż największy mędrzec. I ja więc, skromny polemista (takiej tylko rangi się dosłużyłem!) śmiałbym współzawodniczyć z pieczonem i święconem prosięciem! Nie odzywałbym się też podczas drugiej wystawy kucharskiej, w tygodniu wielkanocnym, gdybym przypuszczał, że czytelnicy moi, wygłodzeni 40 dniowym postem, czekają w niecierpliwości i zapomnieniu o wszystkiem upragnionej godziny mięsa.

Pierwsza wystawa kucharska, czyli gospodarczo-spożywcza zakończyła się z zupełnem zadowoleniem stron wielu. Prasa dzienna pozostaje dotąd w zachwycie, „spożywcy“ wołają namiętnie: „prosimy częściej,“ a gospodarze posiadają „listy pochwalne.“ Kraj zaś osiągnął tę korzyść, że wystawa „wiele nauczyła.“ Ciekawym czego? Tego chyba, że w Bellevue można urządzić gustownie bufet i zjeść w nim coś smacznego za parę... guzików. Oto jest cały sens moralny tak gorąco uczczonego przedsięwzięcia, w którem *wszyscy* uczestnicy otrzymali naprzód rozmaite pochwały od prasy a potem—od komitetu. Zwykły spożywca, nie ten, który „kosztował“ za guziki, ale który kupuje artykuły za pieniądze, jest obecnie tyle mądrym, co przedtem, bo nie wie wcale, u kogo ma nabywać artykuły żywności najlepsze i najtaniej, gdyż wszyscy wystawcy zostali odznaczeni. I gdyby jakaś kucharka lub furman pachciarski wzięli udział w turnieju, z pewnością pierwsza byłaby otrzymała „list pochwalny“ za nastawianie samowaru, a drugi—za rozwożenie mleka. To nie żart, bo przecież takie „listy“ udzielono „za importowanie piwa pilzneńskiego,“ i „za herbatę.“ Jakim sposobem można na wystawie polskiej nagradzać kogoś za „importowanie piwa pilzneńskiego“ lub „za herbatę,“ pojmują ci chyba, którzy mają nadzieję, że kiedyś nawzajem Wiedeń przyzna listy pochwalne swoim wystawcom za „importowanie polskiego bigosu“ a Pekin—za uprawę buraków cukrowych pod Kutnem. Co my chcemy osiągnąć za pomocą tych hurtownych odznaczeń na wszystkich wystawach—to dla mnie pozostanie na zawsze tajemnicą. Czy to jest uznanie dobrych chęci, czy też wartości produktów? Ale w ostatnim razie, czyż wszyscy nasi hodowcy, uprawiacze itd. rzeczywiście tak dzielnie się sprawują, że żadnego pominąć niepodobna?

Z drugiej strony wątpię, ażeby nawet zmieniony system mógł ogółowi przynieść pożytek. Na popis każdy przygotuje się kilka butelek wybornego piwa, kilka sztuk wędlin i konserw, ale to bynajmniej nie są próby artykułów spożywczych, do sprzedaży wprowadzanych. Pięć browarów warszawskich dostało listy pochwalne, a mimo to w Warszawie niepodobna dostać szklanki dobrego piwa miejscowego. Skutkiem tego sprawozdania z wystawy brzmiały jak kontrakty dostawców wojskowych, zobowiązujących się dawać wszystkie produkty w najlepszym gatunku, a dających mąkę z piaskiem i suchary zgniłe. Niech komitet pójdzie do sklepów i fabryk, wybierze na traf materyały i przedstawi je publiczności wraz z cenami, zobaczymy, jak będą wyglądały te piwa, cygara i chleby. Wtedy niewiele zużytoby papieru na listy pochwalne, za to przekonano by się, ile my lichych lub szkodliwych fabrykatów zużywamy. Pierwszy lepszy wzięty ze sklepu słoik szmaragdowo zielonych korniszonów, zabarwianych trującym związkiem miedzi, opowiedziałby wiele tajemnic naszej „sztuki kulinarnej.“ Jeżeli zaś pieprz już jest u nas fałszowany—jak donoszą pisma—nie wiem, co dotąd zamachom w tym kierunku jeszcze się opiera. „Sztuka kulinarna“ stoi u nas istotnie bardzo wysoko, wyżej nawet, niż względy zdrowia i sumienia pozwalają; ale kontrola nad nią narodzi się zapewne dopiero—po cholerze.

Przepraszam, wystawa kucharska wywarła wpływ głęboki na naszą—poezyę. Czytałem tak zręczne i poprawne wiersze na cześć: szynek, piwa, tortów, jakie dotąd poświęcano tylko czterem porom roku i miłości. P. Czesław skarżył się niedawno w *Kuryerze warszawskim*, że dziś poezya spadła w cenie a jej dźwięki nie wywołują odgłosu w sercach ogółu. Czy dlatego muza tego pisma przypasała sobie fartuch kucharski, ażeby zwrócić uwagę? Nie była to zaś zwykła dziewka z Parnasu, ale jego pani, która śpiewała bardzo wprawnie i melodyjnie—na nutę 365 obiadów. Nawet brzydka panna, przebrawszy się w odzież wieśniaczki, zyskuje czasem na urodzie. I poeta więc, przyodziawszy się w szaty wieszcza, opiewającego rymem między ogłoszeniami „śmierć ryb“ lub „zmartwychwstanie flaków“ w Herkulanum, wygląda przystojnie; ale pytanie, czy te zbyt częste kuligi i maskarady synów Apollina nie spowodowały właśnie znacznej ku nim oziębłości? Dawniej poeta—był to kapłan, dziś—jest to „sylf;“ dawniej czarował—dziś zajmuje i bawi. W *Kuryerze warszawskim* spotykam często i przeglądam nieraz króciutkie fejletoniki, podpisane pseudonymem: Fantazy. Obrazki te, zdradzające ładny, marnujący się talent, robią na mnie wrażenie kawałków ze stłuczonego a pięknego zwierciadła, które miało w sobie odbijać rozległe widoki, a w ułamkach odbija śmiecie uliczne. Żałuję tego Fantazego szczerze, gdy opisuje historyę brzytwy lub rozmyśla nad pomnikiem czekoladowym. Jest on widocznie poetą, zapędzonym do lepienia gałek i tuczenia niemi gęsi. W *Kuryerze warszawskim*, którego maszyna podsycała się ogniem młodych talentów poetyckich i wypalała je na koks, daremnie potem rozpalany w innych redakcyach, oprócz Fantazego, spotkać można innych jeszcze „sylfów.“ których prawą matką muza była. Zapisują oni „wypadki,“ urządzają jasełka z przedstawień Teatru Małego, wyrabiają złoty piasek lub bielidło, którem stary dziennik swą twarz odmładza. Od czasu do czasu wyrwie im się z piersi westchnienie, tęsknota za opuszczoną lutnią—i wtedy skarżą się na prozaiczność świata. A czy oni swej poezyi nie sprzedali prozie—zarobku? Może ich życie po części do tego zmusza, ale czemu panna sędzianka lub pan kupiec mają obcować z Apolinem, kiedy sami jego synowie zapominają o swym ojcu?

Jeżeli gdzie nie powinny się odzywać żałosne pienia oślepionych słowików, jeżeli gdzie zwinąć się powinny orle skrzydła, to właśnie w prozaicznym *Kuryerze*. Gdy przed kilku laty jeden z polaków, zamieszkały w Tambowie a chcący poślubić rodaczkę, ogłosił swój zamiar w *Nowinach*, *Kuryer warszawski* zapuścił swe idealne pazurki w ten „bezwstyd,“ w ten „handel najświętszemi uczuciami.“ A dziś? Tenże sam *Kuryer*, zapomniawszy o „bezwstydzie“ i „handlu,“ w każdym prawie numerze zamieszcza propozycye małżeństwa i gruchania gołąbków, które swą nagością daleko prześcignęły skromną odezwę tambowskiego polaka. Przecież upłynęło zaledwie lat parę, a już wstydliwie pismo spokojnie zbiera kopiejki za drukowane na swych kartach i nie zawsze przyzwoite oświadczenia miłosne. Czy w jego krzaczkach można wyśpiewywać żale na znieważanie poezyi—przez pozytywistów?

No, a może i wy czytelnicy chcecie mieć na wielkanoc szynkę? W takim razie przesyłam ją wam—z p. Pindtera. W jednym z ostatnich numerów swej gazety donosi on, że zauważono liczny napływ ludności polskiej do wschodnich prowincyj pruskich, i że dla zatamowania go wydano stosowne rozporządzenia. Szczęśliwi ludzie, ci niemcy: oni mogą przelewać się, gdzie chcą, tworzyć w cudzych krajach całe osady uprzywilejowane, posiadać całe prowincye—i nietylko nikt im drogi nie zagradza, ale owszem ją rozszerza. Ale niechno garstka ludności polskiej wyemigruje do Prus, zaraz ją stamtąd wygonią „stosowne rozporządzenia.“ Doprawdy, miał racyę ów generał rosyjski, który—jak opowiada historya—w nagrodę zasług życzył sobie ironicznie, aby go zrobiono niemcem. Dziś warto niemcem się urodzić.

Ciekawy jestem, czy też Prusy odstawią tego „poważnego przemysłowca,“ który zniechęcony stratami podczas obecnego zastoju, ku wielkiemu „smutkowi“ *Knryera warsz.* „kraj nasz opuścił?“ Takiego bohatera, który dotrwał na stanowisku, takiego dzielnego patryotę pragnęlibyśmy odzyskać.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Bez ratunku. — Wszystko furda bez „tanich pieniędzy.“ — Drogowskaz ku suchej gałęzi. — Obłęd ekonomizujący. — Lekarstwo na wszelkie dolegliwości rolne. — Ratowanie się bez brzytwy tanim kredytem zwanej. — Ruch w przemyśle. — Kandydaci na emigrantów do guberni tomskiej.

„Jestem zdania — pisze korespondent *Gazety warsz.*, porównawszy rentę gruntową z procentem od pożyczek — że trudno wymyślić radykalne lekarstwo na rany naszych gospodarstw. Żadne uczone rozprawy, żadne, *chociażby najracyonalniejsze* zmiany w gospodarstwie nie doprowadzą

do niczego, bo każda zmiana pociąga za sobą pewny zastój w *dochodach*, a *co gorsza*, potrzebę nakładów, które, wydobyte z lichwiarskich kieszeni naszych geszefciarzy, wyrzucą prędzej niejednego biedaka z roli, nim doczeka się zbawiennych środków reorganizacyi. Potrzeba nam *tanich pieniędzy* — lub zginiemy! Czy słowa te nie trafią do umysłów naszych kapitalistów? Trafiłyby może. gdyby wyszły *odrazu z tysiąca ust.*"

Ponieważ nie ulega wątpliwości, że „słowa te nie trafią do umysłów naszych kapitalistów" — więc skazany na śmierć ziemianinie: weź ze stajni mocny powróz i zakończ nędzny żywot na pierwszej suchej gałęzi. Albo jeżeli nie jesteś zwolennikiem tej szlacheckiej nirwany i wierzysz w przyjście królestwa niebieskiego, którego kapitaliści dawać będą „tanie pieniądze" — pomyśl też ze mną, jakimby sposobem wydobyć ten krzyk „odrazu z tysiąca ust?" Właściwie idzie tylko o to, ażeby ów chór zabrzmiał „odrazu," bo już tysiące ust o „tanie pieniądze" wołało. Kto ma je dać? „Nasi kapitaliści." Nasi wszakże i nienasi kapitaliści są to tego rodzaju ludzie, którzy rozumią i stosują tylko jedno prawidło: zysk własny, którzy nie pozwalają otwierać swych kas żadnym sentymentalnym kluczem i których wcale to nie wzrusza, że „tysiące ust" chce się napić z ich ogniotrwałych źródeł — nawet „odrazu." Cóż z takimi ludźmi począć? „Pieniędzy tanich" nie dadzą — i basta! A więc? Chyba grać rolę Maryuszów na gruzach Kartaginy i czekać spełnienia się wyroków nieubłaganego fatum. Bo nikt „radykalnego lekarstwa nie wymyśli, „żadne, choćby najracyonalniejsze zmiany w gospodarstwie nie doprowadzą *do niczego*" — cóż tedy pozostaje? Monaco? Zapewne — środek niezły, ale przecież wszystkich nie uszczęśliwi.

Znam jeszcze jeden, ale nie śmiałbym nigdy z nim wejść pod dach filozofa szlacheckiej rozpaczy. Co najwyżej mogę odezwać się do moich czytelników, niewyciągających ręki ku „naszym kapitalistom:" czyż ze wszystkich dźwigni i czynników ekonomicznych znaczna część naszych ziemian niczego innego pojąć nie może, prócz „tanich pieniędzy?" Czyż rzeczywiście owo tyloma westchnieniami i modłami otoczone bóstwo—„tani kredyt" posiada moc zbawczą? Czy zowym talizmanem obecne i przyszłe pokolenia przejdą bezpiecznie śród burz życia? Ach — dosyć tej naiwnej paplaniny! To nie ekonomia — lecz choroba. obłęd, starymi nałogami żywiony i pragnący zachować warunki dla leniwej wegetacyi, dla próżniaczego istnienia w starej wygodzie. Ludziom bez energii, bez sił i chęci do walki z przeciwnościami, bez odwagi i uzdolnień do pracy, zdaje się, że gdy im los obniży stopę procentową, gdy miejsce lichwiarza zajmie bank — oni wyratują się z przepaści. Są to dzieci, które sądzą, że wlazłszy w morze, wypiją je i nie utoną. Pożyczki i pożyczki — oto najkrzykliwsze hasło ekonomiczne ludzi, których własność przy lepszych warunkach obdłużyła się do 62%. Nie przeczymy, że tani kredyt dla wszelkiej produkcyi, a więc i rolnej posiada wielkie znaczenie; ale żeby on był wszystkiem: i rozumem, i wiedzą, i przedsiębiorczością, ażeby on i tylko on miał ratować tonących, ażeby usuwał potrzebę zmian w gospodarstwie—to już zakrawa na chorobliwą melancholię z przyczyny „zastoju w dochodach."

Na szczęście niewszyscy w tym kierunku wysyłają swe modły. Z różnych stron kraju dochodzą nas wiadomości, które chętnie zapisujemy. że tu i owdzie pracą, zabiegliwością, trafnym pomysłem ziemianin utrzymuje się zwycięzko w walce o byt. Tu p. M. (według *Gazety kieleckiej*) uprawia nasienie buraków cukrowych i sprzedając je w wielkich partyach, „otrzymuje gotowiznę, tyle w rolnictwie a szczególniej teraz pożądaną;" tam znowu p. D. obok plantacyi nasion, wyrabia sery na wzór zagranicznych. „Znajduje się w naszej guberni — powiada korespondent — i więcej jeszcze miejscowości, gdzie w gospodarstwach postępowych zwrócona jest praca na inne źródła dochodu z ziemi, aniżeli na sam snopek." Nie chcemy bynajmniej żadną sofistyką zmniejszać trudności, jakie rolnik dziś pokonywać musi; ale na wielu przykładach dowieść łatwo, że wszędzie, gdzie on jest rozumnym, pracowitym, skrzętnym — i to nie od wczoraj, gdy go bieda przycisnęła, ale oddawna, tam łamie wszelkie zapory i nie czeka zbawienia ani od „tanich pieniędzy," ani nawet od konkursu *Gazety rolniczej*. „Wprawdzie — słusznie mówi korespondent kielecki — liczą tu cokolwiek na poradę dzieła, mającego wskazać dalsze kierunki naszemu rolnictwu, którego wyjście wskutek ogłoszonego konkursu jest oczekiwane; lecz według mego pojęcia, wszelkie dzieła rolnicze, rozbierające przedmiot dany naukowo i więcej z poglądem ogólnym, nie zastąpią żywego słowa rady, opartej na doświadczeniach, stosowanej do miejscowych a bardzo rozmaitych warunków."

Taką mowę rozumiemy, ale nie dziecinne jeremiady, przypominające filozofię rozkapryszonych malców, grożących, że jak mama nie kupi Tadziowi kolei żelaznej, to Tadzio umrze.

Przemysłowcom widnokrąg się rozjaśnił—„kupcy bowiem przyjeżdżający z Cesarstwa dla kupna towarów — jak donosi *Kaliszanin* z Ozorkowa — nabywają je za gotówkę lub też dawszy zadatek, każą ekspedyować wysyłki za zaliczeniem... Fabryki, do niedawna trapione przez stagnacyę, nieco odżyły, a niejeden robotnik, przyciśnięty nędzą i zmuszony wyciągać rękę po jałmużnę, nie będzie potrzebował uciekać się do tej ostateczności... Być może — dodaje korespondent — że zanadto optymistycznie zapatruję się na dzisiejszy stan fabrykacyi; lecz że jest lepiej, niż było, to wątpliwości nie ulega." I dla nas—natomiast wiara w „zmianę czasów" na lepsze wydaje nam się zbyt optymistyczną. Po prostu zmieniła się tylko... pora roku, która zwykle ożywia handel, ale warunki ekonomiczne, nieprzyjazne dla wszelkiej produkcyi, pozostały też same.

Dziennik warszawskij a zanim wszystkie prawie pisma doniosły, jakoby 200 zagrodników z powiatu koneckiego podała prośbę o pozwolenie przesiedlenia się do guberni tomskiej. Otóż *Gazeta radomska* zajęła się sprawdzeniem tego faktu i objaśnia, że istotnie pomiędzy ludem w okolicach Borkowic i Ostałowa rozeszła się wieść, jakoby rząd miał dawać po 100 rs. na każdą głowę rodziny, która zdecyduje się jechać do gub. tomskiej. Zachęceni tą obietnicą biedniejsi włościanie gromadnie nachodzili kancelarye gminne z żądaniem zapomóg; wójci jednak otrzymali od władzy wyższej polecenie, aby winnych rozsiewania fałszywych wieści poszukiwali i oddawali władzy. Obecnie też pogłosce tej nikt już wiary nie daje.

Jak łatwo zaś ciemny nasz lud łapie się na najniedorzeczniejszą bajkę, dowodem następujący wypadek, którym wyjaśniono fakt powyższy. Do pewnego dzierżawcy przychodzi zapłakana komornica i błaga go, ażeby ratował jej córkę, którą „zapisali do Palestyny" i dali jej już nawet na drogę książeczkę. Wkrótce z taką prośbą przybyły wystraszone inne kobiety tejże wsi. Po zbadaniu sprawy okazało się, że dziewczęta, dochodzące 15 lat wieku były wezwane do wójta i otrzymały książeczki legitymacyjne, a ktoś z nich zażartował że to są paszporty do Palestyny, czemu uwierzyły.

Emigracyę naszego ludu zwykle wywołują albo kłamliwe obietnice, albo bajki.

A. C.

Białystok. Żona tutejszego mieszczanina, postawiona po śmierci w kaplicy, obudziła się w letargu, wyszła z trumny, wlazła po drzwiach na okno, ale źle obliczywszy wysokość, spadła i zabiła się. Biedaczka chciała dzwonieniem przywołać kogoś na pomoc; ale grabarz, który to dzwonienie słyszał, pobiegł naprzód po ludzi, a zanim ich zebrał, już nieszczęśliwa leżała na cmentarzu martwa.

Siedlce. Nieuchwyceni dotąd zbrodniarze w celu rabunku wymordowali całą rodzinę puszkarza Czułanowa, o którym wiedziano, że posiada kilka tysięcy rubli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1 kwietnia.

W polityce zaczyna być gorąco, nawet bardzo gorąco!

Chińczycy rozbili oddział wojsk francuskich pod dowództwem gen. Negriera (rannego), zabiwszy 1,800 żołnierzy, zabrawszy artyleryę i zapasy żywności. Gdy Ferry uwiadomił Izbę o tej klęsce, która niemal wyrzuciła francuzów z Tonkinu, i zażądał natychmiast 200 milionów fr. kredytu na dalsze prowadzenie wojny, Izba, wzburzona przez Clemenceau, odmówiła, skutkiem czego cały gabinet podał się do dymisyi. Telegraf donosi, że lud niósł na rękach posłów lewicy, gdy wyszli z parlamentu, że w Paryżu panuje straszne przygnębienie, któremu dziwić się nie można. Tyle pieniędzy, tyle krwi stracono na sprawę, wymagającą teraz olbrzymich wysiłków i ofiar a niezapalającą swym celem nikogo! Rozpoczęto też gorączkowe przygotowania do wyprawy i wkrótce odpłyną posiłki wojskom, czekającym ratunku. Dzienniki krzyczą: na Pekin! Łatwo krzyczeć, ale dostać się do tego Pekinu!

Prasa utrzymuje, wbrew spokojnej rozmowie gabinetów, że wojna Anglii z Rosyą wisi na włosku i że ten włosek coraz bardziej się nadrywa. Rzeczywiście, obie strony wysyłają wojska ku Afganistanowi, a nawet mianują dowódców przyszłej kampanii. *Times* pisze: „Rosya prowadzi zwykle politykę zaczepną, ale dla drobnych celów nie naraża się nigdy na wielkie niebezpieczeństwa. Gdyby szło rzeczywiście tylko o pastwiska turkmeńskie i słone bagna, toby z pewnością dotąd nie była posunęła swoich forpoczt z Saraksu. Bezpośrednim celem strategicznym Rosyi jest opanowanie Heratu, a politycznym oderwanie emira od przymierza z Anglią. Pragnie ona mu dowieść, że może zająć jego terytorya, skoro jej się podoba. Najmniejsze powodzenie Rosyi na tej drodze byłoby ciężkim ciosem dla nas i przedsmakiem klęsk przyszłych. Jeżeli Rosya nie ustąpi, wojna jest konieczną i będzie. Najostrzejsze słowa nie poskutkują w Petersburgu, potrzeba koniecznie faktów."

Mimo to organa urzędowe zapewniają, że spór załatwi się drogą pokojową.

Po nad tym obrazem starć i niepokojów unosi się dumna postać mocarza Europy— Bismarka z fajką w ustach. Tak on ukazał się z balkonu tłumom, przeciągającym w uroczystym pochodzie 31 marca przed jego oknami i wykrzykującym z powodu 70-ej rocznicy urodzin kanclerza rozmaite pozdrowienia. Z rozkazu cesarza korpus generałów złożył powinszowania bohaterowi, którego bezpieczeństwa śród kochającego ludu strzegła cała berlińska policya.

Obecnemu dramatowi Europy nie brak scen humorystycznych: duchowieństwo bulgarskie urządziło bezrobocie skutkiem odmówienia przez ludność opłaty podatków na jego korzyść. Bezrobocie księży zdarza się chyba po raz pierwszy.

Wiedeń. Aresztowano tu majora sztabu generalnego, barona Potier des Echelles, używającego wielkiej powagi w kołach wojskowych, a oskarżonego obecnie o zdradzanie tajemnic służby, mianowicie o dostarczanie planów fortec jakiemuś biuru wywiadowczemu w Kopenhadze.

Berlin. Skutkiem zmowy robotników w Kielfeldzie, w tej miejscowości i okolicach zaprowadzony został stan oblężenia.

CUDZE GŁOSY.

Wiek wyraża taką nadzieję:

„Wobec naprężonych stosunków w kwestyi azyatyckiej, wobec możności starcia anglo-rosyjskiego, kwestya Heratu zaczyna zajmować tu opinię publiczną tak dalece, że można się spodziewać, iż nawet nieśmiertelna „polska sprawa“ pójdzie na jakiś czas spocząć do archiwum dzienników i odetchnie sobie nieco uśpiona w stosach starej makulatury.

Należy się jej doprawdy ten odpoczynek—bo też wysłużyła się rzetelnie dziennikarzom rosyjskim, dając im na każde zawołanie niekosztowny materyał do zawziętych polemik i sposobność do donkiszotowskich bojów z wiatrakami.

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia pisze:

„Zauważono u nas, że urzędowym organem litewskiego biskupa katolickiego był *Dziennik poznański.* Korzystając z wiadomości gazet niemieckich, *Moskowskija wiedomosti* wyraziły domysł, że to nie jest przypadkowe, i że rzeczy tak się mają. „Do arcybiskupa poznańskiego, jako prymasa całej Polski—rzecze organ p. Katkowa—powinien należeć wybór króla polskiego. Watykan oczywiście dobrze jest powiadomiony o tej roli arcybiskupa poznańskiego, pragnie więc, ażeby katedrę ową zajmował wpływowy szlachcic polski. Wszyscy tedy inni biskupi winni być pomocnikami najbliższymi prymasa. Nie mógłby on wypełnić swego posłannictwa, gdyby nie miał zabezpieczonego ich spółudziału. Najlepszą rękojmią może być naturalnie wybór odpowiednich ku temu osób, zdolnych do pozyskania wpływu politycznego. Niedarmo tenże sam Hryniewiecki z taką pompą odbywał swój wjazd do Wilna, zużytkowując poparcie materyalne ze strony magnatów polskich, w których gronie wyłącznie się obracał. Biskupi potrzebują znowu pomocników, na którychby w zupełności mogli polegać; Hryniewiecki też troskliwie wybierał takich księży, energicznie każdego usuwając kapłana, co zdaniem jego niezupełnie zasługiwał na zaufanie. Biskup działał systematycznie. Klucz do systemu ukryty był we wskazówkach Kuryi co do przymiotów, jakie winna posiadać osoba, na biskupią katedrę polską obierana. Te wskazówki są faktem, z którym liczyć się wypada i który dostatecznie tłómaczy powody, dla jakich za organ do ogłaszania w druku rozporządzeń Hryniewieckiego obraną została właśnie gazeta, wychodząca w Poznaniu.“

„Zbyt to subtelne kombinacye odpowiada na to *Nowoje wremia.*—U Niemców jeszcze to ujdzie, bo sami są politykami subtelnymi. Co zaś do rosyan, ci woleliby się powstrzymać od wycieczek w dziedzinę ciemnych domysłów, tembardziej, że najmniejszego znaczenia praktycznego domysły podobne dla nas nie mają i mieć nie mogą. Wogóle teraz są w modzie naciągania wszelkie na karb intrygi polskiej. Np. p. Trubnikow w swym *Ekonomiście* bez żadnych nawet faktów przypisuje stan finansów rosyjskich intrydze polskiej. Ba, dalej, niż *Ekonomista*, zapędził się *Gołos Moskwy*: tąż samą intrygą polską tłómaczy on znaną decyzyę budowania kolei sybirskiej przez Ufę, nie zaś przez Kazań. Zresztą *Gołos Moskwy* w prostoduszności swojej zdolny jest dopaplać się, Bóg wie, do czego. Tak lamentując na intrygę polską, pisze: „Do Łodzi, do Tomaszowa, Koluszek, nawet Bodzechowa oraz do innych miejscowości polskich były i są budowane koleje gorliwie i sumiennie. Kolej moskiewsko-brzeska do Brześcia i do gubernij nadwiślańskich dochodzi w dwóch kierunkach, a pod Moskwą idzie w jednym tylko. W kraju nadwiślańskim zbudowano za pieniądze i pod gwarancyami skarbu mnóstwo kolei, gdy drogi rostowsko-władykaukaskiej nie posunięto za Władykaukaz, i dlatego nie łączy ona Moskwy z siecią zakaukaską, skutkiem czego skrępowany jest odbyt wyrobów moskiewskich na Kaukazie.“ A wszystko to, pochodzić ma nie stąd, że zachodnio-rosyjska sieć kolei ma pierwszorzędne znaczenie strategiczne, ważniejsze, niż odbyt wyrobów moskiewskich, ale stąd, że przed żywiołem polskim nie są zamknięte drzwi do szkół technicznych.“

Wszystko to bardzo rozumnie powiedziane, ale pytanie, kto też bardziej od *Now. Wremieni* wykopywał wszędzie kreta, zwanego „polską intrygą?“

Graždanin donosi, że z powodu stulecia „dworianskiej hramoty“ szlachta rosyjska ma żądać następujących przywilejów:

„1) Znieść prawo uzyskiwania szlachectwa, przywiązane do rang i orderów. 2) Nadanie szlachectwa winno być łaską, zależną tylko od woli Monarszej. 3) Zebrania szlacheckie mogą prosić o nadanie szlachectwa osobom tylko szczególnie zasłużonym ojczyźnie. 4) Marszałek szlachty pospołu z delegowanymi ma mieć prawo sądu honorowego, do którego mogą się też udawać ludzie innych stanów, w razie nieporozumień ze szlachtą. 5) Sąd honorowy ma prawo dawać ostrzeżenia szlachcicom, po trzeciem ostrzeżeniu nazwisko ma być wykreślone z ksiąg szlachectwa i winny ma być swego szlachectwa pozbawionym. Podobnież mają być karane osoby po trzykroć wydalone z zebrań szlacheckich. 6) Znieść dla szlachty służbę obowiązkową w wojsku. 7) Szlachcic, jeżeli jest szeregowcem w armii, może nosić znak wyróżniający. 8) Do korpusów kadeckich może być przyjmowana tylko szlachta. 9) Uwolnić osoby pochodzenia szlacheckiego od sądów przysięgłych, oddając je pod sąd sędziów koronnych przy udziale delegowanych stanu szlacheckiego. 10) Obdarzyć obywateli ziemskich tanim długo i krótko-terminowym kredytem.“

Nawet *Graždaninowi* wydaje się tego dobrego za dużo.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Bank polski wystąpił do władzy wyższej z prośbą o powiększenie składu osobistego wydziału buchalteryi, lecz otrzymał odpowiedź odmowną. Jednocześnie pisma rosyjskie donoszą, że ma on być już wkrótce zamieniony na filię Banku państwa.

Konkurs krakowski — co już nie jest jego winą — przyczynił się swym wyrokiem do wywołania obłędu w jednym z rzeźbiarzy warszawskich, nienagrodzonym.

Sąd okręgowy warszawski rozpatrywał sprawę bandy opryszków, gospodarujących kiedyś w Gostyńskiem. Ich herszt Delatkiewicz drwił czelnie, z zeznających przeciw niemu świadków chciał bić. Skazano go na 20 lat ciężkich robót, a jego spólników na niższe kary. Jest to prawdziwy „bohater swego czasu.“

Zaćmienie księżyca częściowe widzialnem było u nas d. 30 b. m.

Egzamina rabinów z języka rosyjskiego, na wniosek general-gubernatora warszawskiego, ustanowione zostały przez komitet ministrów, a odbywać się będą przed komisyami, złożonemi z vice-gubernatora, radców rządu gubernialnego i dwu nauczycieli języka rosyjskiego.

Komitet giełdowy warszawski zdał sprawę z czynności swoich w roku ubiegłym. Ze sprawozdania tego okazuje się, jak mocnym był paraliż handlu i przemysłu, spowodowany zastojem. Wartość produkcyi w samej Warszawie zmniejszyła się o 2 miliony rubli. Najbardziej spadła ona w przemyśle metalicznym i garbarskim. I działalność komitetu była znacznie słabszą.

P. Derdowski, znany poeta kaszubski i b. redaktor *Gazety toruńskiej*, aresztowany został w Kulm, w restauracyi, podczas gdy wyjąwszy rewolwer, groził strzelaniem do obecnych. Znaleziono przy nim 18 nabojów i trzy egzemplarze broszury „Powrót żydów do Palestyny.“ Donoszące o tym wypadku *Echo* berlińskie mniema, że Derdowski wpadł w pomieszanie zmysłów.

Wysokość atmosfery, otaczającej ziemię (obliczana dotąd 80—100 kilometrów) według świeżych badań Raula Picteta, ma być znacznie większą. Atmosfera, jego zdaniem, ogarnia ziemię w postaci elipsoidy, której oś mniejsza jest równoległą a większa prostopadłą do osi ziemi.

W Krakowie, przy poborze rekrutów, powstała bójka między ludnością chrześciańską a żydowską na dziedzińcu magistratu; przybrałaby ona szersze rozmiary, gdyby w porę nie zamknięto bram dziedzińca i nie wyłowiono... dowódców walki.

Epidemia zaburzeń śród młodzieży szkolnej przypadła na naszą dobę. W Czernichowie (Galicya) uczniowie szkoły rolniczej znieważyli czynnie nielubianego profesora. Szkołę zamknięto i zarządzono nowe wpisy.

Akademia umiejętności. Dnia 24 lutego odbyło się posiedzenie komisyi prawniczej. Na wniosek dr. Oczapowskiego uchwalono zająć się słownictwem ekonomicznem polskiem. Sprawę tę poruczono osobnej komisyi, która ma wygotować plan do wydawnictwa słowników z dziedziny umiejętności prawnych i politycznych. Następnie odczytał dr. Fierich obszerną rozprawę p. t. *O restytucyi* z powodu złego następstwa w procesie cywilnym austryackim, która wywołała gorącą dyskusyę i przyjętą została z wielkiem uznaniem dla autora.

— Posiedzenie wydziału filologicznego 2 marca oddano do referatu dwu członkom złożony przez dr. Estreichera *Katalog rękopisów* biblioteki hr. Branickich w Suchej. Prof. Morawski przedstawił rozprawę A. S. Miodońskiego p. t. *De usu vocabuli bestia apud scriptores latinos* etc.

Dnia 12 marca odbyło się posiedzenie komisyi historyi sztuki. Zastanawiano się nad udziałem, jaki komisyi wypada wziąść w obradach kongresu archeologicznego, zwołanego na lipiec do Lwowa. Odpowiednie wnioski w tej sprawie mają postawić na następnem posiedzeniu komisyi pp. J. N. Sadowski i prof. Sokołowski, uproszeni do roztrząśnięcia programu kongresu. Wreszcie dr. Jan Bołoz Antoniewicz miał wykład o płaskorzeźbach, zdobiących starożytną szkatułkę z kości słoniowej, znalezioną przed paru laty w skarbcu katedralnym krakowskim.

Cenzura w Londynie zabroniła przedstawienia *Teodory*, najnowszego dramatu W. Sardou! Cnotliwi!

Państwowa szkoła przemysłowa ma być założona we Lwowie.

Bliziński Józef ukończył pracę, będącą dopełnieniem słownika Lindego. Dzieło obejmuje trzy tomy; wyrazy objaśnione są przykładami. Pominiętych u Lindego wyrazów ma być 10,000; sama litera A przyniosła 320 nowych.

Kongres muzyków odbędzie się w tym roku podczas wystawy w Antwerpii.

Mommsena historyi rzymskiej tom piąty, obejmujący czasy od Cezara do Dyoklecyana, ma się ukazać wkrótce z druku. *Neue freie Presse* umieściła już nawet fejleton o nim i zacytowała z drukującego się dzieła ustęp p. t. *Das grechische Europa.*

Fundacya dobroczynna. Hr. Karol Czarnecki złożył 7,000 w austr. rencie srebrnej na przytułek sierocych kobiet starych na Blichu w Krakowie. Kapitał ma pozostawać jako depozyt w kasie miasta Krakowa a opiekę nad nim poruczył ofiarodawca każdoczesnemu prezydentowi miasta.

Wystawa rysunków i akwarel Gustawa Dorégo otwartą została w Paryżu 4 marca.

Zarząd galeryi narodowej w Berlinie zamierza urządzić w przyszłym roku wystawę rzeźby polichromicznej.

Karta Sudanu i krain nad Nilem wyszła nakładem firmy Lechnera we Wiedniu. Przedstawia całe morze Czerwone wraz z zatoką Aden i sięga na zachód aż do Darfuru, a na północ aż do morza Śródziemnego. Mapa jest bardzo dokładna a przytem tania (pocztą w Austryi 77 ctów.

W Rzymie dokonano w ostatnich dniach wiele bardzo ciekawych odkryć, mianowicie odkopano 7 sarkofagów marmurowych i wspaniałą statuę kobiety rzymskiej z prześlicznego marmuru paryjskiego, prawie całkiem zachowaną. Niedawno zaś, bo na początku z. m., wykopano tamże w pobliżu ogrodu Colonnów statuę

bronzową, przedstawiającą atletę, a koło Porta Scalara mały szereg cennych napisów.

Setną rocznicę urodzin Kurpińskiego uczczono koncertami, przedstawieniami lub odczytami w Warszawie i Lwowie.

Żeleński zawarł z p. Ludwikiem Markiem, jako przedstawicielem agencyi teatrów w Niemczech, kontrakt o wystawienie *Wallenroda* na scenach niemieckich. Po przetłomaczeniu libretta ukaże się ta opera najpierw we Wiedniu i Lipsku.

Nieznany dotychczas dramat Szujskiego p. t. *Władysław IV* przedstawiono w tych dniach w Krakowie. Ma się odznaczać pięknym językiem i konsekwentnem przeprowadzeniem charakterów. Natomiast osłabia bardzo wartość sceniczną dramatu brak akcyi, co jest zwykłą wadą wszystkich dzieł dramatycznych Szujskiego.

Pamiętników Liszta tom czwarty ukazał się z druku. Między innemi obejmuje rozmaite szczegóły, dotyczące życia Chopina.

W Hamburgu i w Lubece przedstawiano z powodzeniem pozostałą po Weberze operę p. t. *Silvana* w nowem opracowaniu Ernesta Pasque i F. Langera.

Album malarzów hiszpańskich współczesnych ukaże się wkrótce w Monachium. Wydawnictwo obejmie 20 fototypów. Dochód przeznaczony na rzecz dotkniętych ostatniem trzęsieniem ziemi w Hiszpanii. Cena 25 marek niem.

W teatrze nadwornym we Wiedniu przedstawiono nowy dramat Pawła Lindaua i Hugona Lublinera p. t. *Frau Susanne*. Sztuka nie obudziła wielkiego zapału z powodu słabo rozwijającej się akcyi dramatycznej.

Pomnik dla generała Gordona ma wkrótce stanąć w Londynie. Składki płyną bardzo obficie; do tej chwili, w przeciągu kilkunastu dni zebrano 3,000 funtów sterl. Komitetowi przewodniczy ks. Walii.

Dziwna polityka anglików: wystawili Gordona na niechybną zgubę a teraz stawiają mu pomnik!

Galicyjska spółka rybacka. W Krakowie zawiązali w dniu 11 marca b. r. pp. Aleksander Gostkowski, Stanisław Homolacz, Wiktor Burda i Paweł Marcinek spółkę rybacką, z kapitałem zakładowym 100,000 złr. Zadaniem jej jest podniesienie gospodarstwa rybnego w Galicyi i na Bukowinie. Zamierza ona dzierżawić i ulepszać istniejące stawy, tudzież zamieniać nieużytki, bagna, torfiaste łąki, pastwiska mało zysku przynoszące, jeżeli się dadzą zawodnić, na stawy rybne, przynoszące wyższą rentę od dotychczasowej. Spółka wystosowała już do właścicieli stawów i do osób, pragnących założyć gospodarstwo rybne, odpowiednią odezwę. W ten sposób uczyniono w Galicyi wielki krok naprzód do poprawy jednej gałęzi gospodarstwa, mającej przed sobą świetne widoki, jak o tem świadczy przykład Francyi, gdzie gospodarstwo rybne stoi na najwyższym stopniu rozwoju i miliony dochodu rocznie przynosi. A u nas?...

Telefony. W tych dniach dokonano telefonicznego połączenia Wiednia z Peszten zapomocą mikrotelefonu, ulepszonego przez Vecesyego.

Fałszywe ordery. W Wiedniu wykryto zorganizowaną szajkę, która zajmowała się sprzedawaniem fałszywych orderów perskich. Na czele szajki tej stał niejaki Mirza Hassan; sprytnie urządzał swój interes, bo pieczęć państwowa na fermanach zupełnie naśladowała prawdziwą.

Zmarli. Ks. Orłow, ambasador rosyjski, przy dworze berlińskim—w Fontainebleau (majątku).

— Kardynał Schwarzenberg w Wiedniu.

— Stanisław Drozdowski, doktór medycyny, weterynarz, z r. 30-go, oficer legii honorowej, b. dyrektor kolonii polskiej w Adamówce (założonej w r. 1852 przez ks. Czartoryskiego), w Konstantynopolu.

— Karol Wild, jeden z najbardziej zasłużonych księgarzy polskich, we Lwowie. Firma Wildów istniała we Lwowie już przy końcu zeszłego stulecia. Karol objął ją po ojcu w r. 1849. Był prawdziwym opiekunem i orędownikiem literatury polskiej w Galicyi. Niemal wszyscy tamtejsi pracownicy na polu nauki i literatury, jak Bielowski, Szajnocha, Supiński, Szujski, Romanowski, Dzierzkowski, Zacharjasiewicz, Łoziński, Tatomir, Bodzantowicz i inni znajdowali w nim podnietę i zachętę. Dzieła ich drukował własnym nakładem, i przyczynił się niezmiernie do rozwoju ruchu umysłowego w Galicyi. Kiedy zaprowadzono w szkołach galicyjskich język polski, rzucił się z wielką ofiarnością do wydawania polskich podręczników naukowych. Wskutek ciągłych zmian tych podręczników, wskutek rozmaitych innych jeszcze niepowodzeń musiał na kilka lat przed zgonem zwinąć swój zakład. Zasłużonemu mężowi uchwalili księgarze lwowscy własnym kosztem postawić pomnik na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

A. Win. Takiej książki nie ma; są tylko słowniki do rozmaitych gałęzi nauk przyrodniczych.

Maryi D. Słownik Potockiego rs. 5 k. 25 bez przesyłki, szachy Portiusa rs. 1.

W. Lut w Dorpacie. Że w wielu nowszych działach o logice (oprócz wspomnianych u Wundta) matematyka wyższa jest zastosowaną—o tem wiadomo.

Rutk. w Wilk. Nawet źródła do takiego wykazu nie znamy.

Raf. Lub. Myśl, zawarta w artykule pańskim kilkakrotnie już podnoszoną była i upadła pod zarzutami, że: 1) jest spóźnioną, 2) nikt nie weźmie na siebie odpowiedzialności za zmianę przeznaczenia składek. Wykonalnym byłby może tylko projekt, ażeby, dopóki nie narodzi się model godnym Mickiewicza, za odsetki od funduszu na pomnik wydawać tanio dzieła poety, które rzeczywiście są jeszcze nieznane nawet—rzeźbiarzom, stawającym do konkursu. Artykuł odesłaliśmy *K. C.*

St. Wat. Pojedynczych zeszytów nie sprzedajemy, gdyż właśnie braki dopełniamy.

Piotr. Cieraszk. Abonenci płacą k. 80, nie abonenci rs. 1.

Z. Wskazuje: S. Monasterskiego *Uprawa chmielu*, Lwów 1882, kop. 50, Z. S. *Uprawa chmielu* tamże k. 25, L. Jastrzębowski *O uprawie i sprzęcie chmielu* Warsz. 1883 k. 30.

OFIARY.

Dla biednych. Bezimiennie rs. 1.
Na Kasę Mianowskiego. Tadeusz Kunke rs. 5.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Марта 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.